

Puls

CZEKAMY NA BOŻE NARODZENIE
I TRZYMAMY SIĘ ZA PORTEFELE.
TANIO JUŻ BYŁO

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

PIĄTEK-NIEDZIELA, 5-7.12.2025
NR 97 (2504)

CENA 7,00 ZŁ (W TYM 8% VAT)
INFORMACJE Z KRAJU I ZE ŚWIATA **WWW.I.PL**

s.8

Samotność Ukrainy.

Putin robi swoje, a ani Amerykanie, ani kraje Europy nie mają żadnego pomysłu na to, jak zakończyć wojnę



FOT. PAP/PEA

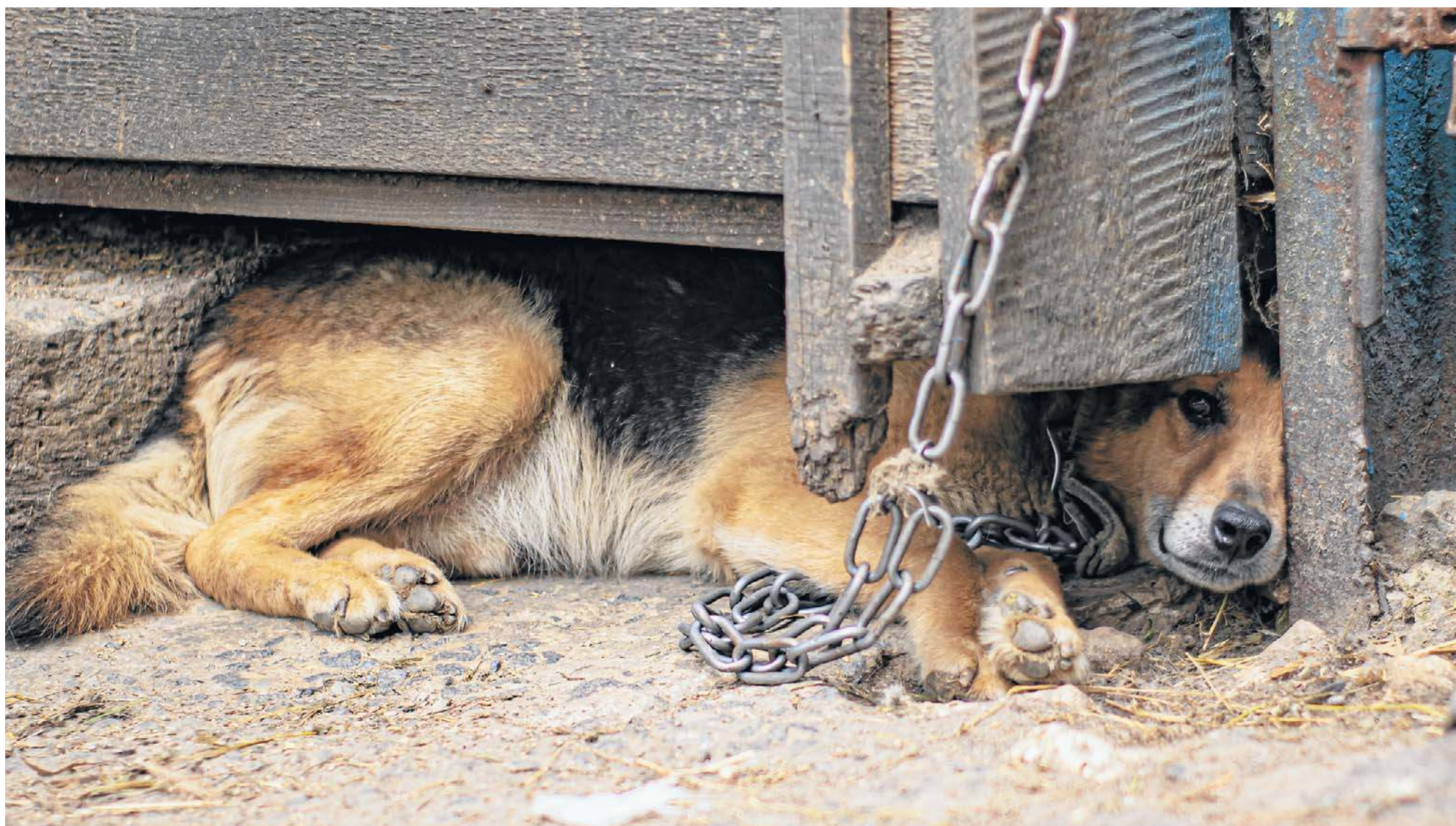
s.18

Znaczek, który zmienił wszystko.

Wojciech Siudmak i jego walka z aniołem, czyli artysta niezwykle, bardziej rozpoznawalny na świecie niż w Polsce

s.24

Małgorzata Pieczyńska: Liczy się błysk w oku i chęć do życia, a nie zmarszczki. Trzeba czasem próbować się z życiem i wydrapać co swoje



FOT. GETTY IMAGES

s.4

Udręka psów na łańcuchach miała się skończyć, ale weto prezydenta sprawia, że wszystko zostanie po staremu. Jak długo?



NR ISSN 1898-3081 | NR INDEKSU 349-682

W poniedziałek magazyn

Janusz Michalczyk
publicysta



CO MA TRYBUNAŁ DO BLISKIEJ OSOBY

Nie od dziś wiadomo, że wśród młodych instytucja małżeństwa cieszy się coraz mniejszym prestiżem i - paradoksalnie - najbardziej zależy na sformalizowaniu związków tym, którzy dziś nie mogą tego uczynić, czyli parom homoseksualnym. W kręgach rządowych w wielkich bólach rodzą się przepisy o związkach partnerskich, które dla niepoznaki przybrały postać ustawy o statusie osoby najbliższej. Dlatego sporo zamieszania wywołała wieść, że Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, iż zrzeszone kraje mają obowiązek uznawać małżeństwo pary tej samej płci. Sytuacja się zmieniła, bo do tej pory ślub zawarty na przykład w Niemczech nie powodował automatycznie zalegalizowania w Polsce. I nadal nie będzie, a to z prostego powodu - jest to technicznie niemożliwe, bo w systemie informatycznym urzędu stanu cywilnego nie ma takiej opcji. Minister sprawiedliwości zapowiedział, że rząd coś wymyśli i takie związki będą „odnotowane odpowiednio w naszej ewidencji”. Łatwo się domyślić, że szybko to nie nastąpi, a poza tym nikt takiej pary nie potraktuje jak zwykłe małżeństwo w urzędzie skarbowym albo u notariusza.

O co tak naprawdę toczy się gra? Wydaje się, że jeśli ma być przyjęta ustawa o statusie osoby najbliższej to pary homoseksualne mogą liczyć co najwyżej na ułatwienia w dostępie do informacji medycznej, gdy partner czy partnerka wylądują w szpitalu. Być może zostaną uwzględnione jakieś kwestie dotyczące wychowania dzieci i kontaktów ze szkołą. Dyskutuje się też sprawę dziedziczenia mieszkania.

Przyzwyczajaliśmy się kłócić niemal o wszystko, więc orzeczenie Trybunału stało się kolejną okazją do politycznych ataków i wątpliwych pomysłów. Wcześniej to prawica próbowała zrobić z konstytucji świstek papieru, a teraz w podobnym duchu kombinują niektórzy z przeciwnej strony. Już mamy w systemie prawa bałagan, z którym coraz trudniej będzie żyć zwykłym obywatelom.

Trudno być optymistą. Natomiast sędzę, że w tym stanie rzeczy należy doceniać każdy przejaw zdrowego rozsądku i spokojną, rzeczową argumentację.

”

Na ochronę zdrowia każdego roku wydajemy miliardy złotych więcej. Nie możemy więc dzisiaj opowiadać, że doszło do katastrofy, zapaści, bankructwa

Premier Donald Tusk, podczas szczytu „Bezpieczny Pacjent”

● Górnik, który zrezygnował z pracy w kopalni i ruszył na bieżąco ● Prof. Łukasz Kaczmarek: Pytanie nie brzmi „Czy grać?”, tylko „Jak grać mądrze?”

Z czego jutro ...? ZOBRAZOWANIE UPORCZYWOŚCI ANTYINNOWACYJNEJ PAŃSTWA, CZYLI W OKOWACH LEWATYWY Z DYMU TYTONIOWEGO

Z okazji pomyślnego wystrzelenia 28 listopada pierwszego wojskowego satelity na pokładzie rakiety Falcon 9 firmy SpaceX zamówionej przez Ministerstwo Obrony Narodowej w fińskiej firmie ICEYE ukazał się wcześniej w „Rzeczpospolitej” wywiad z Rafałem Modrzewskim dyrektorem generalnym i współzałożycielem tejże firmy, która buduje komercyjną konstelację mikrosatelitów. Główna kwatery firmy mieści się przy ulicy Maarintie 6 w Espoo w Finlandii. Według współzałożyciela ICEYE „dofinansowanie start-upów na wczesnym etapie to działalność wysokiego ryzyka. A jednocześnie, żeby miało sens, musi być znaczne i szybkie, bez zbędnej biurokracji”.

Nic zatem dziwnego, że najlepiej pod tym względem w Europie jest w Szwecji, Finlandii i Estonii. Według europejskiego rankingu innowacyjności European Innovation Scoreboard (EIS) Polska jest klasyfikowana w najniższej grupie „Modest Innovators” Umiarkowani Innowatorzy na miejscu 24 w roku 2023 wśród 27 państw UE, wyprzedzając tylko Bułgarię, Rumunię i Słowację. Dystans do liderów, którymi są Szwecja, Dania, Finlandia nie maleje, a nawet rośnie. Nic zatem zaskakującego w tym, że polskiemu obywatelowi łatwiej założyć startup w Finlandii i odnieść niekwestionowany międzynarodowy mierzalny sukces, a dopiero później otwierać jego oddział w Polsce.

Zmianę systemu na konkurencyjniejszy niż w państwach skandynawskich zastąpiono niekończącą się mantrą o „polskiej Nokii” i „czebolach”. Zamiast zlikwidowania biurokratycznych „ścieżki zdrowia” wymyślano widowiska typu „Startupy do Pałacu” mające „wspieranie wizji rozwoju Polski opartej na wiedzy i in-

Andrzej Sadowski
Centrum Adama Smitha



nowacjach” i nieustannym słowotoku, że „przyszłość gospodarki leży w nowoczesnych technologiach”, który nie prowadził do zmian systemowych.

Polityka ośrodków władzy państwowej od dekad skupiona przede wszystkim na widowiskowej symbolice lub sprawach trzeciorzędnych jak dodanie w aplikacji mObywatel możliwości rejestracji firmy, co nijak ma się do realizacji powtarzanego w graniczących śmiertelnym znużenie odbiorców hasła, że „innowacje są priorytetem”. Rejestracja firmy w aplikacji jest zmianą techniczną a nie systemową, która nastąpiłaby wówczas, gdyby polityczni decydenci zlikwidowali niewspółmierne wysokie opodatkowanie małych firm w stosunku do korporacji. Co daje dołożenie do mObywatela funkcji rejestracji firmy, kiedy problemy z aparatem zaczynają się w czasie podjęcia przez nią działania?

Wystrzelony satelita ma zwiększyć zdolności obserwacyjne Wojska Polskiego, umożliwiając monitorowanie Ziemi w każdych warunkach i jej obrazowanie. Czy zatem rząd w Polsce nie może również dostępnymi narzędziami i technologiami zobrazować instytucji i przepisów, które powodują spadek

pozycji w European Innovation Scoreboard? Skoro wydaje się pieniądze podatników na monitorowanie Ziemi, to dlaczego nie monitoruje się skutków działalności agend państwa znajdujących się na polskiej ziemi? Zanim stworzy się wybitnie unikalny model w skali całego świata na rzecz innowacyjności najszybszym w sytuacji zagrożenia agresją ze strony innych państw jest zaimplementowanie działających modeli z państw skandynawskich czy Izraela. Aparat rządowy ma w tym wprawę, bo od dekad implementuje i twórczo rozszerza dyrektywy europejskie, dlatego może również i znacznie lepsze rozwiązania, niż te, które jak do tej pory tylko pogłębiają przepaść innowacyjną oraz skłaniają do migracji osoby w nią zaangażowane. Zanim rząd wyda pieniądze na kolejnego satelitę powinien zobowiązać własną działalność i podległej mu biurokracji wobec nie tylko startupów, ale gospodarki, bez uwolnienia której nie obronimy skutecznie się wobec rosnącego zagrożenia, które materializuje się każdego dnia i jest coraz bardziej przewidywalne. Jak bardzo jest przewidywalne udowodnił przed napaścią na Polskę przez Niemcy, Rosję i Słowację w roku 1939 Władysław

Studnicki w książce „System polityczny Europy a Polska”, którą ówczesna rządząca junta wojskowa odpowiedzialna za narodową katastrofę skonfiskowała.

Uporczywe trwanie w okowach anachronicznych struktur państwowych i szkodliwego dla rozwoju gospodarczego i społecznego prawa, które wspólnie w zespole ograniczają adopcję dobrodziejstw rewolucji cyfrowej jest niewytłumaczalne w kategorii logiki oraz racji stanu.

Mimo zgromadzonego doświadczenia i dostępnej na kliknięcie wiedzy działania podejmowane przez decydentów, którzy wyznają, że „gospodarka jest ich pasją” są tak skuteczne jak swego czasu zabieg podawania lewatywy z dymu tytoniowego. Jako metoda reanimacji tonących, leczenia bólów głowy, a czasem także ofiar porażenia prądem tytoniowe wdmuchiwanie dymu - tobacco smoke enema okazało się przestarzałą, szkodliwą i całkowicie nieskuteczną procedurą medyczną. Przy dzisiaj dostępnych narzędziach cyfrowych wynik skuteczności terapii, instytucji czy przepisu można uzyskać niemal w czasie rzeczywistym.

Przez funkcjonujący obecnie konstrukt instytucjonalno-prawny państwo polskie podąża drogą samoograniczenia społecznego i gospodarczego rozwoju, a co za tym idzie jest nieprzygotowane na nawet incydentalnie powtarzające się zagrożenia, które już dziś symptomatycznie wskazują na prawdopodobne osamotnienie w chwili prawdziwej próby. Najwyższy czas na zmiany, a nie tylko na kolejne satelity.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

**POLITYKA OŚRODKÓW WŁADZY
PAŃSTWOWEJ OD DEKAD
SKUPIONA PRZED W SZYSTKIM NA
WIDOWISKOWEJ SYMBOLICE LUB
SPRAWACH TRZECIORZĘDNYCH**

Od Bóbrki do Baltic Pipe. Barbórka i historia ludzi, którzy zbudowali polską branżę naftową i gazowniczą

Barbórka to jedno z tych świąt, które najmocniej łączy przeszłość z teraźniejszością polskiej energetyki. Choć wielu kojarzy ją z górnikami węgla, 4 grudnia jest równie ważny dla tysięcy pracowników wydobycia gazu ziemnego i ropy naftowej – ludzi, którzy każdego dnia budują bezpieczeństwo energetyczne kraju. Dla Grupy ORLEN Barbórka to nie tylko okazja do uhonorowania ich pracy, lecz także do pokazania, jak tradycja górniczego etosu spleta się z nowoczesnymi projektami wydobywczymi, inwestycjami i technologiami, które budują stabilność systemu energetycznego Polski.

Historia Barbórki na ziemiach polskich sięga połowy XVIII wieku, kiedy to górnicy z Tarnowskich Gór po raz pierwszy uczcili swoją patronkę, św. Barbarę. Legenda o jej odwadze i męczeństwie stała się symbolem ochrony przed nagłą i niespodziewaną śmiercią. Za przyjęcie chrześcijaństwa ojciec wydał ją Rzymianom i sam wykonał wyrok sądu, który skazał ją na ścięcie. Według innych dawnych podań święta Barbara była ocalona przez cudowne otwarcie skały, w której ukryła się przed ojcem. Dlatego od pokoleń górnicy, geolodzy i wszyscy pracujący przy wydobyciu surowców z ziemi, proszą ją o opiekę.

Barbórka szybko stała się jednym z najważniejszych świąt zawodowych w Polsce. Dziś tradycje górnicze, w tym obrzędy barbórkowe, znajdują się na krajowej liście niematerialnego dziedzictwa kulturowego, a Polska wraz z Austrią i Luksemburgiem ubiega się o ich wpisanie na listę UNESCO. Nie dziwi więc, że święto to ma tak duże znaczenie nie tylko dla wydobywających węgiel.

Nie tylko górnicy węgla

Choć w powszechnej świadomości górnik kojarzy się głównie z kopalnią węgla, Barbórka jest świętem znacznie szerszej grupy zawodowej. Obchodzą ją również górnicy naftowi i gazownicy – to oni eksploatują, wydobywają i zabezpieczają strategiczne surowce energetyczne kraju. Pracują na platformach, w kopalniach ropy i gazu, w podziemnych magazynach i odazotowaniach, dbając o to, by paliwa i gaz docierały do milionów odbiorców. Wśród świętują-



cych są także górnicy soli, siarki czy specjaliści pozyskujący hel.

W Grupie ORLEN Barbórka jest świętem całego segmentu wydobywczego – geologów, wiertników, geofizyków, ratowników górniczych, operatorów infrastruktury i pracowników magazynowania surowców. To ludzie, którzy kontynuują tradycję górniczej kultury pracy w nowoczesnej branży wydobywczej. Barbórka jest również świętem tradycji polskiego przemysłu naftowego, który we współczesnej formie narodził się pod koniec XIX wieku.

Chlubne tradycje

Historia rodzimego gazownictwa i przemysłu naftowego zaczyna się od człowieka, który wyprzedził swoją epokę. W 1854 roku Ignacy Łukasiewicz uruchomił w Bóbrce pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej – miejsce działające do dziś, będące żywym pomnikiem narodzin globalnej branży naftowej. Tam powstały jej podwaliny: pierwsze szyby, rafinerie i technologie pozwa-

lające wykorzystać ropę i gaz na skalę przemysłową.

Łukasiewicz tworzył nie tylko innowacje techniczne, lecz także nowoczesny etos pracy – zakładał kasy brackie, dbał o edukację pracowników i rozwój lokalnych społeczności. W kolejnych dekadach Polska rozbudowywała infrastrukturę gazową, tworzyła gazociągi, a gaz z Podkarpacia zasiliał pierwsze zakłady chemiczne. Dziedzictwo tamtego czasu jest dziś fundamentem, na którym ORLEN łączy 170 lat tradycji z nowoczesnymi technologiami i globalnym zasięgiem segmentu wydobywczego.

Święto całego górnictwa

W Grupie ORLEN Barbórka jest wyjątkowym świętem, łączącym wiekową tradycję z nowoczesnym przemysłem. To dzień szczególnie ważny dla pracowników segmentu wydobywczego: geologów, górników naftowych i gazowych, wiertników, geofizyków, ratowników, operatorów instalacji oraz wszystkich zaangażowanych w poszukiwanie,

wydobycie, magazynowanie i przesył gazu i ropy. Tego dnia, tradycyjnie odbywają się msze święte, przemarsze orkiestr górniczych, akademie z wręczeniem stopni górniczych, odznaczeń branżowych i wyróżnień, w tym Honorowej Szpady – jednego z najbardziej prestiżowych symboli w środowisku górniczym.

W ORLENIE Barbórka jest również czasem podkreślania roli pracowników Segmentu Upstream, ich odpowiedzialności i profesjonalizmu, które budują siłę polskiego sektora wydobywczego. To dzień, w którym tradycja staje się mostem do przyszłości – przypominając, że nowoczesne technologie i bezpieczeństwo energetyczne mają swoje źródło w pracy ludzi, przez pokolenia związanych z górnictwem gazowym i naftowym.

Dywersyfikacja kluczem do stabilności energetycznej

Stabilność energetyczna Polski coraz mocniej opiera się na działaniach Grupy ORLEN, która dzięki połączeniu tradycji z nowoczesno-

cią wspiera bezpieczeństwo energetyczne w regionie. Krajowe wydobycie gazu ziemnego utrzymuje się w ostatnich latach na poziomie ok. 3,5 mld m³ rocznie, co pokrywało blisko 20% rocznego zapotrzebowania. Kolejne miliardy metrów sześciennych pochodzą ze złóż eksploatowanych przez ORLEN na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. Gaz z Norwegii, przesyłany bezpośrednio do Polski przez Baltic Pipe, jest dziś jednym z kluczowych filarów dywersyfikacji dostaw. Do 2030 roku ORLEN chce zwiększyć własne wydobycie – w kraju i za granicą – do 12 mld m³.

Równolegle rozwija się segment LNG. W 2024 roku terminal w Świnoujściu oraz dostawy z USA, Kataru i innych kierunków pozwoliły sprowadzić ponad 6 mld m³ gazu po regazyfikacji. Ważnym elementem są również podziemne magazyny gazu, których rozbudowa – m.in. PMG Wierchowice – zwiększy pojemność krajową do ponad 4 mld m³.

Dzięki temu ORLEN stabilizuje rynek energii i umo-

żliwia transformację energetyczną, w której gaz pełni rolę paliwa pomostowego wspierającego rozwój OZE oraz technologii wodorowych.

Symbol szacunku dla ludzi pracy

Barbórka przypomina, że fundamentem polskiej branży wydobywczej zawsze byli ludzie – ich wiedza, odwaga i gotowość do pracy w trudnych warunkach. Dziedzictwo Ignacego Łukasiewicza trwa dziś w nowoczesnych instalacjach, odwiertach, magazynach i projektach ORLENU. To połączenie tradycji i technologii pozwala budować stabilny i bezpieczny system energetyczny, z którego korzystają miliony Polaków.

W świecie pełnym zmian Barbórka jest momentem zatrzymania – czasem, w którym oddajemy szacunek górnikom naftowym i gazowym, pamiętamy o ponad 170-letniej historii, a jednocześnie patrzymy w przyszłość ku inwestycjom, które zapewnią bezpieczeństwo energetyczne kolejnym pokoleniom.

PREZYDENT NAWROCKI A SPRAWA PSIAKÓW

Zapowiadane głosowanie nad odrzuceniem weta prezydenta Nawrockiego w sprawie tzw. ustawy łańcuchowej nie stawia polityków Prawa i Sprawiedliwości w komfortowej sytuacji. Chwałę weto prezydenta. W takim razie dlaczego we wrześniu głosowali za tą ustawą i chcieli uwolnić psy z łańcuchów?

Dorota Kowalska

Jeśli weta prezydenta Nawrockiego od początku wzbudzały emocje, to te wywołały prawdziwą burzę. W każdym razie prezydent mocno się naraził, co ciekawe i obozowi rządzącemu i Konfederacji, a wszystkim za sprawą zwierzątek. O co chodzi? Karol Nawrocki podpisał ustawę o zakazie hodowania zwierząt na futra, co nie spodobało się Konfederatom, ale jednocześnie zawetował inną, która dotyczyła trzymania psów na łańcuchu.

- Zamiast rozwiązywać problemy, tworzyła nowe, które mogły doprowadzić do pogorszenia, a nie polepszenia sytuacji zwierząt - tłumaczył Nawrocki. Podkreślił, że choć intencja ochrony zwierząt jest słuszna i szlachetna, to - według niego - ustawa była źle napisana. Tego samego dnia do Sejmu trafił prezydencki projekt, który zakłada zakazanie trzymania zwierząt domowych na uwięzi.

Ale jego argumentacja nie przekonała polityków koalicji rządzącej.

- Panie prezydencie, płakać się chce. Miał pan uwolnić z łańcuchów psy, a tak naprawdę uwolnił pan z łańcuchów złe myśli. Dał pan bezkarność złym ludziom, którzy to

wykorzystają, którzy będą nadal traktowali psy, tak jak traktowali do tej pory - mówi na nagraniu na portalu X marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. Jego zdaniem „to weta krzywdzi psy”. - Ma pan psa? Ma pan jakąś empatię wobec zwierząt? - pytał dalej.

I nie był jedynym politykiem Lewicy, który odniósł się do sprawy.

„Prezydent zdradza bezbronnych! Karol Nawrocki daje zielone światło dla bezduszności, bestialstwa i okrucieństwa. Weta ustawy o ochronie zwierząt to wariactwo! Żadnej odpowiedzialności, to bezduszne traktowanie zwierząt i uleganie lobbym! Pozostanie krew na rękach Prezydenta po każdym okaleczeniu lub śmierci bezbronnego zwierzęcia!” - skomentował wicepremier i poseł Lewicy Krzysztof Gawkowski.

Szef MSWiA Marcin Kierwiński pisze o braku empatii, europoseł KO Krzysztof Brejza o „zemście Nawrockiego na zwierzętach”, Dariusz Josiński o tym, że prezydent „broni łańcucha”, rzecznik rządu Adam Słapka stwierdził, że „tylko osoba bez serca może taką ustawę zawetować”.

„I co ci psy zawiniły?” - spytał krótko premier Donald Tusk.

Marszałek Czarzasty tak sprawy, czy raczej prezydenckiego weta, nie zostawił.

Na specjalnie zwołanej konferencji prasowej zapowiedział,

że przedstawiciele koalicji rządowej zdecydowali, iż odbędzie się głosowanie w sprawie weta prezydenckiego, ponieważ - w ich opinii - decyzja prezydenta jest absolutnie niezrozumiała. Do głosowania nad odrzuceniem prezydenckiego weta dojdzie prawdopodobnie na posiedzeniu Sejmu w drugiej połowie grudnia.

Weto oznacza w praktyce wniosek prezydenta o ponowne rozpatrzenie przez posłów danej ustawy. Sejm może odrzucić weto prezydenta, uchwalając ustawę ponownie większością trzech piątych głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów - w maksymalnym wariancie przy założeniu, że w głosowaniu wezmą udział wszyscy posłowie, oznacza to konieczność zebrania 276 głosów, by odrzucić weto.

Nowelizację ustawy o ochronie zwierząt Sejm uchwalił pod koniec września. Za jej przyjęciem opowiedziało się 280 posłów, 105 było przeciwnych, a 30 wstrzymało się od głosu. W klubie PiS za nowelą zagłosowało 49 posłów, w tym szef partii.

Pytany przez dziennikarzy w Sejmie prezes PiS Jarosław Kaczyński o to, jak zagłosuje w sprawie weta do tzw. ustawy łańcuchowej - odpowiedział: „w tej sytuacji nie odrzucę”.

- Tu chodzi o poprawkę odnoszącą się do pewnych realiów. Pewne przepisy tej



Tzw. ustawa łańcuchowa miała poprawić sytuację zwierząt - głównie na wsiach

ustawy są dobre, ale niemożliwe do realizacji - dodał.

Na uwagę dziennikarzy, że wcześniej opowiedział się za tą nowelizacją, Kaczyński stwierdził, że „czasem się głosuje za czymś, co jest częściowo dobre”.

Weto Nawrockiego pochwalił w mediach społecznościowych szef klubu PiS i były minister obrony Mariusz Błaszczak. Określił je jako „uzasadnione”. On również w czasie wrześniowego głosowania poparł nowelizację. „Uwolnienie zwierząt z łańcuchów jest niezwykle ważne, ale nie powinno odbywać się to kosztem nadregulacji, która zmusza właścicieli do budowy kosztownych i nieadekwatnych rozmiarach klatek. Nasze rozsądne poprawki, które miały działać na korzyść właścicieli, zostały odrzucone. Jeśli ekipie Tuska zależy na losie psów, powinniśmy przyjąć prezydencką ustawę na jutrzejszym posiedzeniu” - napisał Błaszczak.

O to, jak zamierza głosować nad prezydenckim wetem, był też pytany przez dziennikarzy poseł PiS Marek Suski.

- Zgodnie z sumieniem - odparł krótko.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że Marek Suski działał przez lata w Parlamentarnym Zespole Przyjaciół Zwierząt.

W rozmowie z PAP adw. Sara Balcerowicz, pełnomocniczka Komitetu Stop Łańcuchom Pseudohodowlom i Bez-

domności Zwierząt odpowiedziałnego za obywatelski projekt tzw. ustawy łańcuchowej podkreśliła, że zawetowane przez prezydenta Nawrockiego przepisy stanowiły pełne minimum.

- Prezydencki projekt otwiera pole do bardzo dużych nadużyć względem trzymania psów w klatkach. Nie ma w nim nawet zapisu, jak miałyby wyglądać np. ogrodzenie klatki. W zasadzie można będzie zamknąć psa w jakimś pseudokojcu bez jakichkolwiek prześwitów, więc może okazać się, że takimi regulacjami zrobimy psom gorzej, niż mają obecnie - powiedział.

Projekt prezydencki w przeciwnieństwie do zawetowanej ustawy dotyczy zwierząt domowych (poza przepisami dot. bud dla psów), a nie jedynie psów. Przewiduje jednak takie same wyłączenia z zakazu trzymania zwierząt na uwięzi. Katalog przypadków, w których zakaz nie będzie obowiązywał, obejmuje prowadzenie na smyczy lub uwiązanie zwierzęcia: na czas spaceru, transportu, udziału psa w wystawie, pokazie, konkursie, występie, treningu lub w tresurze i podczas zabiegu lekarsko-weterynaryjnego, profilaktycznego lub pielęgnacyjnego.

Wyłączeniu podlegają również przypadki - poza miejscem stałego bytowania zwierzęcia - niezbędne do zapobieżenia niebezpieczeństwu stwarza-

nemu przez zwierzę dla życia lub zdrowia człowieka lub innego zwierzęcia oraz wyrządzenia szkody przez zwierzę, gdy zastosowanie innego środka nie jest w danych okolicznościach możliwe lub uwiązanie jest środkiem najlepiej znoszonym przez zwierzę. Uwiązanie psa będzie też możliwe krótkotrwale w określonych warunkach wskazanych przez właściciela - w sposób niepowodujący naruszenia dobrostanu zwierzęcia.

Projekt zakłada też wprowadzenie obowiązku zapewnienia zwierzęciu odpowiedniego schronienia przed warunkami atmosferycznymi.

Zawetowane przepisy zawierały regulacje w sprawie klatek, w których trzymane są psy. Określona była ich powierzchnia w odniesieniu do wielkości zwierzęcia czy też konstrukcja. Najmniejszy klatek miał powierzchnię 10 m kw. (dla psa o masie ciała poniżej 20 kg), a największy 20 m kw. (powyżej 30 kg).

Cóż, sprawa ustawy łańcuchowej nie stawia polityków Prawa i Sprawiedliwości w komfortowej sytuacji. Pewnie, jak zapowiadają, nie odrzucą weta prezydenta Nawrockiego. Pytanie w takim razie, dlaczego we wrześniu głosowali za przyjęciem tej ustawy. Tłumaczenie, że „czasem się głosuje za czymś, co jest częściowo dobre” nie brzmi przekonująco.

AKCJA CHARYTATYWNA



0011434064

Karolina Wrońska

Spór między prezydentem a rządem nie słabnie

Spór między ośrodkiem rządowym i prezydenckim posiada charakter ustrojowy i nie będzie słabł - przyznają politolodzy. Jacek Reginia-Zacharski ocenił, że w warunkach kryzysu staje się to niebezpieczne. Olgierd Annusewicz uważa, że na eskalowaniu sporu bardziej traci prezydent

Prezydent Karol Nawrocki zawetował ostatnio kilka kolejnych uchwalonych przez parlament ustaw, co spotkało się z krytyką premiera. Wcześniej odmówił podpisania nominacji sędziowskich, a także awansów i nominacji w służbach specjalnych. Cały czas nie jest też rozwiązany spór między prezydentem a szefem MSZ o nominację ambasadorską. Zaś i prezydent, i premier nie szczędzą sobie wzajemnie krytyki, wypowiedzianej na ogół w portalach społecznościowych.

Politolodzy przyznają, że można zaobserwować ostatnio eskalację sporu, wynikającą z konieczności kohabitacji między prezydentem a rządem. Kohabitacji, czyli sytuacji, gdy oba ośrodki wywodzą się z różnych obozów politycznych. Eskalację tę widać nawet w stosunku do czasów, kiedy prezydentem był Andrzej Duda.

Dr hab., prof. Uniwersytetu Łódzkiego Jacek Reginia-Zacharski ocenił, że spory te wynikają z nieostrości zapisów konstytucji, powodujących, że ewentualny konflikt jest wpisany w konstrukcję systemu politycznego.

Jak przypomniał historyk i politolog z UŁ, konflikt ten przyszedł jedynie wtedy, gdy prezy-

dent i premier wywodzili się z tego samego obozu politycznego. - Gdy w tzw. dużym i małym pałacu zasiadają przedstawiciele tej samej opcji politycznej, napięcie jest jakoś tonowane. W pozostałych przypadkach tak nie jest - powiedział Reginia-Zacharski, dodając, że nikogo więc nie powinno zaskakiwać, że napięcie między prezydentem Karolem Nawrockim a rządem z Donaldem Tuskiem na czele występuje. - Już 1 czerwca wiedzieliśmy, że tak to będzie wyglądało - zauważył.

Dziś, jak mówi, z ustrojowych i politycznych powodów spór ten nie będzie słabł, bo nie jest incydentalny, ale posiada charakter systemowy.

Zdaniem politologa, taki niejednoznaczny ustrój w warunkach kryzysu staje się niebezpieczny. - Jestem głęboko przekonany, że w sytuacji kryzysowej, z którą mamy do czy-



Grupa Wyszehradzka: Tamas Sulyok, Peter Pellegrini, Karol Nawrocki i Petr Pavel

nienia, parametrem, który pozostaje w deficycie jest czas. Jeśli mamy niedookreślone kompetencje, oczywiście jest, że proces decyzyjny cierpi na płynność i jest to bardzo niedobre - powiedział Reginia-Zacharski. - W obecnej sytuacji taki ustrój stwarza zatem bardzo wysoki potencjał ryzyka, ale takie mamy uwarunkowania i nie sądzę, aby cokolwiek się zmieniło

przy takim rozpisaniu kompetencji władz - dodał.

Potwierdził to dr hab. Olgierd Annusewicz z Uniwersytetu Warszawskiego. Jego zdaniem spór prezydenta z rządem wynika po pierwsze z modelu ustrojowego, gdzie kompetencje nie są do końca określone, a z drugiej z realnego sporu politycznego, emocjonalnego i aksjologicznego. - PiS rywalizuje

z obecną koalicją o władzę, prezydent ma poparcie PiS, prezes Jarosław Kaczyński nazwał go przecież właśnie swoim prezydentem. Zaś nadmierna współpraca prezydenta z rządem pomagałaby rządowi, a tak mogłoby być odczytywane podpisywanie przez prezydenta kolejnych ustaw istotnych dla koalicji, umożliwiających jej pokazanie, że dowozi swoje

obietnice wyborcze - wyjaśnił Annusewicz.

Kohabitacyjny spór będzie więc - w jego opinii - zaostrzać, bo konflikt jest opłacalny dla obu stron, a nawet bardziej dla rządu i Koalicji Obywatelskiej. Bo w interesie prezydenta i PiS, dodał politolog, konflikt ten powinien raczej mieć charakter sinusoidalny, a nie wyłącznie eskalować.

- W momencie, w którym konflikt będzie miał charakter totalny, będzie to wzmacniało narrację Koalicji Obywatelskiej, że z tym prezydentem nie da się nic zrobić, że to jest „wetomat”. Będą mogli mówić: nie dowiedzieliśmy wszystkiego co chcieliśmy, ale sami widzicie dlaczego - powiedział Annusewicz. - Dlatego uważam, że jeśli Karol Nawrocki chciałby przeszkodzić w uwiarygodnianiu takiej opowieści, powinien od czasu do czasu z rządem współpracować - dodał. PAP

REKLAMA

0011438446

SYLWESTER z DWÓJKĄ
2025
Katowice pod Spodkiem

Województwo Śląskie KATOWICE dla odmiany Górnos Śląsko-Zagłębiowska Metropolia Start 19:50 TVP 2

PATRONI MEDIALNI



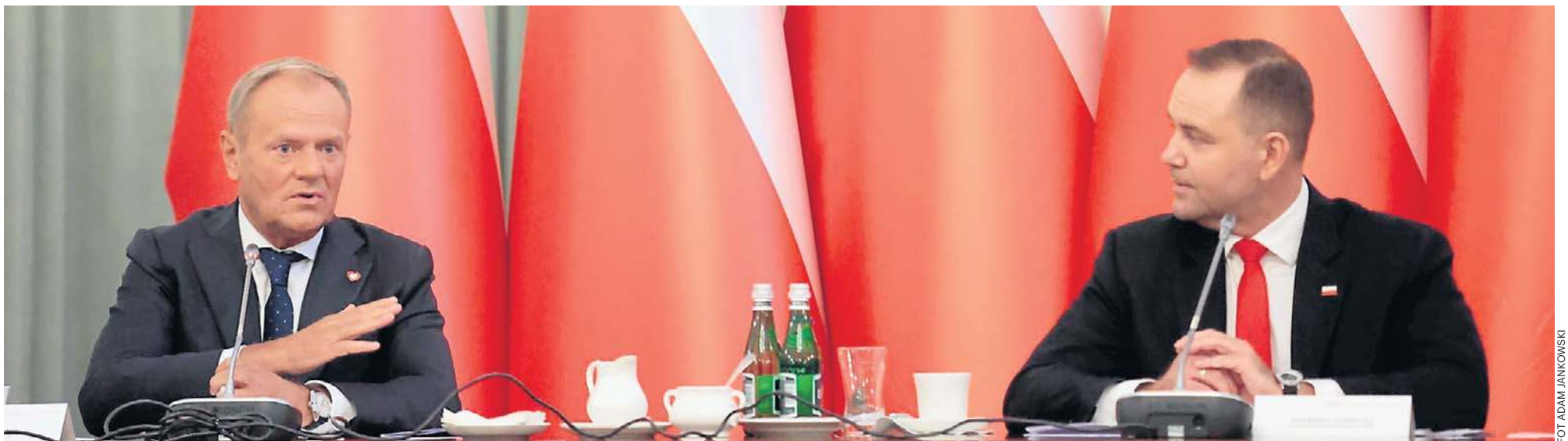
SPONSOR GŁÓWNY



PROF. TOMASZ NAŁĘCZ: TAK OSTREJ KONFRONTACJI MIĘDZY RZĄDEM A PREZYDENTEM JESZCZE NIGDY NIE BYŁO

– W poprzednich kadencjach bywały spięcia, raz większe, raz mniejsze, ale zawsze interes państwa był tą granicą, której żadna ze stron nie przekraczała. A to, co jest w tej kohabitacji najbardziej charakterystyczne, to fakt, że w tej wojnie interes państwa się nie liczy. Liczy się przede wszystkim zniszczenie drugiej strony – mówi prof. Tomasz Nałęcz, historyk, publicysta i polityk, w latach 2010-2015 doradca prezydenta RP, obecnie radny dzielnicy Wawer

Dorota Kowalska



Prof. Nałęcz: Strategia Karola Nawrockiego polega na tym: będę jak mógł utrudniał działanie rządowi, ale winę za efekty tego, co robię, przypiszę rządowi. Rząd podejmuje to wyzwanie, bo to nie jest wojna, w której tylko jedna strona zadaje ciosy

Panie profesorze, jak Pan ocenia te kilka miesięcy prezydentury Karola Nawrockiego?

To jest najbardziej konfrontacyjna kohabitacja w dziejach polskich prezydentur. Ona jest tak skrajnie konfrontacyjna, że wykracza nawet poza czarne prognozy formułowane przez najbardziej pesymistycznych politologów. Prezydent wypowiedział bezpardonową wojnę rządowi. Ofiarami tego konfliktu będziemy my wszyscy, bo jak toczy się taka wojna na górze, to ofiary padają po stronie obywateli.

No właśnie, bo co mamy? Mamy weta prezydenckie, mamy odmowę nominacji sędziowskich i oficerskich, mamy odmowę przyznania odznaczeń i orderów żołnierzom i funkcjonariuszom ABW. Wygląda na to, że póki

co stracni są głównie obywatele, pewnie także wyborcy Karola Nawrockiego.

Oczywiście, bo to jest strzelanie na oślep. Nawet nie strzelanie, to bombardowanie na oślep całych obszarów życia publicznego, więc ofiarami są ludzie najróżniejszych przekonań. Wojna nigdy niczego nie buduje – zawsze niszczy.

Dobrze, tylko w co gra Karol Nawrocki?

Tutaj odpowiedź nie jest trudna. Karol Nawrocki chce sparaliżować działanie rządu, żeby go oskarżyć o nieudolność. Karol Nawrocki twierdzi, że rząd Donalda Tuska to najgorszy rząd Polski od 1989 roku. Gdyby nie był antykomunistą, to powiedziałby, że to najgorszy rząd Polski od 1944 roku albo i od 1918 roku, ale ogranicza tę ocenę do III Rzeczypospolitej i stara się to za wszelką cenę udo-

wodnić. Karol Nawrocki jest rozgrywającym PiS w kampanii przed wyborami parlamentarnymi w 2027 roku. Obok tego toczy się także gra o przywództwo w obozie prawicy, o to, kto obejmie sukcesję po Jarosławie Kaczyńskim, jeśli chodzi nie o najwyższe urzędy, ale o rzeczywiste podejmowanie decyzji. Więc to są cele Karola Nawrockiego. Zauważmy – wszystkie partyjne, a nie prezydenckie w świetle konstytucyjnej roli głowy państwa.

Do tego jeszcze wrócimy. Panie profesorze, ale przecież obywatele widzą, co robi Karol Nawrocki. Widzą, co wetuje, jak to wpływa na ich życie. Sędziowie, żołnierze i funkcjonariusze ABW też widzą, kto im nie przyznał nominacji i orderów.

Na tym polega ryzyko strategii Karola Nawrockiego: atrofia

państwa i niezalatwanie szeregu różnych spraw – bo do tego zmierzają działania prezydenta, przede wszystkim weta prezydenckie, ale nie tylko – mogą być przypisane jemu, a nie rządowi. Ta strategia Karola Nawrockiego polega na tym: będę jak mógł utrudniał działanie rządowi, ale winę za efekty tego, co robię, przypiszę rządowi. Rząd podejmuje to wyzwanie, bo to nie jest wojna, w której tylko jedna strona zadaje ciosy. Te ciosy zadaje też druga strona. A my, obywatele, jesteśmy nie tylko ofiarami, jesteśmy też sędziami w tej wojnie. Z tym że naszym sądem i wyrokiem – poza tym, że formułujemy nasze opinie, wyrażamy je publicznie, odpowiednie instytucje badania opinii publicznej prowadzą różnego rodzaju sondaże – będą wybory parlamentarne w 2027 roku. I tu jest wielkie ryzyko po stronie pre-

zydenta, że jego strategia może nie być kołem napędowym kampanii PiS-u w 2027 roku. A jeśli ta kampania nie przyniesie sukcesu, to zły prognostyk dla kampanii prezydenckiej w roku 2030.

Właśnie, bo rząd może powiedzieć tak: „Posłuchajcie, robimy, co możemy. Chcemy wam ułatwić życie, ale proszę, to jest prezydent, który na wszystkie nasze działania mówi „nie”.

Rząd już to robi. Tej rzeczywistej wojnie, podstawianiu sobie nawzajem nogi, towarzyszy też wojna propagandowa: próba przekonania nas, obywateli, że cała wina leży po tej drugiej stronie, że wilk walczy z barankiem. Tak naprawdę walczą ze sobą dwa wilki, chociaż jeden jest bardziej krwiożerczy, drugi bardziej mięci się w ramach konstytucji w swoich działaniach, bo

krwiożerczość oceniam stopniem naciągania konstytucji do swojej strategii. Nie jestem symetrystą, nie uważam, żeby zmagali się dwie strony stosujące tę samą broń. Jestem krytyczny wobec prezydenta. Rozumiem, że taka totalna wojna wydana przez prezydenta rządowi powoduje, że rząd też nie ma innego wyjścia – musi odpłacić pięknym za nadobne i sięgnąć po podobny oręż. Nie można na wojnie mylić zaatakowanego z broniącym się, chociaż obydwie strony walczą, prawda? Więc uważam, że tu stroną atakującą jest prezydent. Rząd jest stroną broniącą się, chociaż jak to na wojnie, także tej obronnej, podejmuje się kontrofensywy i kontruderzenia, samemu też się atakuje, a nie tylko paruje ciosy. Elementem tej wojny jest próba przekonania nas, obywateli, że zło płynące z tej wojny jest winą tylko drugiej

strony. Ta wojna się dopiero rozkręca; niestety, nie jesteśmy nawet w jej apogeum, jesteśmy na początku tej grywki. I jak na razie, moim zdaniem, w tym starciu o przekonywanie ludzi, kto jest winowajcą tego konfliktu, rząd góruje. Choć zdarzają mu się też wpadki.

Jakie wpadki?

Taka spektakularna wpadka, teraz na siłę odkręcana, to arcyniemądre stwierdzenie marszałka Czarzastego, że będzie stosował weto. Albo się twierdzi, że prezydenckie weta paraliżują państwo i nie mówi o tym, że my też będziemy weta stosować, albo się mówi: prezydent zgłasza weto, to ja też będę wetaował. Tyle tylko, że mówiąc to drugie, marszałek Czarzasty w znacznej mierze usprawiedliwił działania prezydenta. Zresztą, moim zdaniem, zachował się niemądrze także dlatego, że prezydent ma konstytucyjne prawo do niepodpisywania ustaw, a marszałek nie ma żadnego uprawnienia do blokowania inicjatyw ustawodawczych. Może to w praktyce robić, uruchamiając tak zwaną zamrażarkę, ale to wiąże się z pewną praktyką, a nie z zapisaną kompetencją. Zresztą, proszę zwrócić uwagę na ostatnie wystąpienia marszałka Czarzastego. Wycofuje się rakiem z tego niefortunnego orędzia. Ono było nieprzemyślane, wzięło się z jakiejś euforii związanej z wyborem na marszałka Sejmu. Było oczywiście błędem.

Może wzięło się to z tego, że marszałek Czarzasty został bardzo mocno zaatakowany przez PiS i samego prezydenta w momencie, kiedy został wybrany na to stanowisko. Ale został zaatakowany nie za kompetencje i sposób urzędowania, tylko za przeszłość. Został zaatakowany niemądrze.

Bo każdy tę przeszłość zna, prawda?

Nawet nie o to chodzi. Może dla Jarosława Kaczyńskiego i jego równolatków słowo „komunista” coś znaczy, ale dwa pokolenia wyrastają już w wolnej Polsce, więc, moim zdaniem, można było skrytykować Włodzimierza Czarzastego, jak się chciało, znacznie skuteczniej niż tym starym hasłem „komunista”. Poza tym, jak PiS wypomina komuś komunizm, a ma w swoich szeregach Piotrowicza w Trybunale Konstytucyjnym i cały szereg ludzi jeszcze bardziej uwikłanych w stary system niż był Czarzasty, to nie brzmi to przekonywująco. Nie, moim zdaniem to się wzięło z braku przemyślenia. Ktoś najpierw coś powiedział, a potem pomysł. Zresztą, marszałek Czarzasty, chociaż tego nigdy

nie przyzna, rozumie, że popełnił bardzo poważny błąd. To widać po tym, jak się teraz ze swoich słów wycofuje.

Jeszcze w czasie kampanii prezydenckiej wiele osób podnosiło, że pan Nawrocki to osoba dość bezwzględna, ambitna. Myśli Pan, że chodzi mu o to, aby rządzić prawicą? Zbyt długo obserwowałem politykę, patrzyłem na nią od środka, żeby mieć komuś za złe jego ambicje, pod warunkiem że działania mieszczą się w granicach dekalogu, czyli tych najbardziej uniwersalnych zasad etycznych obowiązujących w świecie. Natomiast ta rywalizacja o liderowanie na prawicy nie bierze się z jakichś nadmiernych ambicji. Ona jest podyktowana po prostu PESELEM. To, że przywództwo Jarosława Kaczyńskiego się kończy, widzą wszyscy poza Jarosławem Kaczyńskim. Fakt, że prawica już się szykuje do wykreowania nowego lidera, widać gołym okiem. Karol Nawrocki chce sięgnąć po to przywództwo, co jest zresztą kolejnym nieszcześciem dla urzędu, bo prezydent nie może celem swego działania uczynić liderowania jakiejś formacji. Prezydent musi reprezentować interesy wszystkich obozów politycznych. Mamy to nawet zapisane w konstytucji. Konstytucja zabrania prezydentowi piastowania jakiegokolwiek stanowiska, tzn. odgrywania jakiejś roli poza prezydenturą. Dlaczego? Bo każda inna rola koliduje z misją prezydencką. Misja prezydencka to misja spajająca wszystkich obywateli, spajająca państwo. Jeśli prezydent będzie miał jakąś inną rolę społeczną, to będzie rola związana z częścią z nas, czyli będzie kolidowała z prezydenturą. Więc aspirowanie do przywództwa na prawicy, sięgając do ducha konstytucji, koliduje z misją prezydencką. Tyle że prezydent nawet się z tym nie kryje. W wywiadzie radiowym w przededniu Święta Niepodległości na pytanie, czy prezydent jest liderem polskiej prawicy, rzecznik prezydenta bez mrugnienia okiem powiedział: „Tak, prezydent jest liderem polskiej prawicy”. Jak głowa państwa może być liderem jednego obozu politycznego?

Karol Nawrocki próbuje ustawić rząd, mówi, co ten ma robić, sam najchętniej prowadziłby politykę zagraniczną, chyba chciałby zmiany konstytucji na taką, która prezydentowi dawałaby więcej władzy, jak to jest w Stanach Zjednoczonych czy we Francji. Przy całym moim krytycyzmie wobec postępowania prezydenta, rozpychania konstytucji, działania wbrew misji prezydenckiej, bo prezydent ma być arbitrem, ma być spoiwem

łączącym wszystkich obywateli, to na pewno nie popełnię tego grzechu, żeby ten krytycyzm zamienić w dezawuowanie intelektualne prezydenta. Widać, że prezydent bardzo szybko uczy się polityki. Kiedy popatrzymy na Karola Nawrockiego z początku kampanii prezydenckiej, kiedy popełnił wiele błędów, z których szybko wyciągnął wnioski, i tego dzisiaj – widać różnicę. Prezydent świetnie wie, że nie ma żadnych szans na ustanowienie systemu prezydenckiego w Polsce w przewidywalnej przyszłości. Polacy są tak podzieleni, że trudno wyobrazić sobie sytuację, w której jeden z obozów będzie miał większość dwóch trzecich w parlamencie, a to jest niezbędny warunek zmiany konstytucji, wykluczwszy zamach stanu. Ale nie sądzę, żeby ktoś tam w Pałacu Prezydenckim planował zamach stanu. Nie, prezydent uzurpuje sobie tę władzę w ramach konfrontacji z rządem i będzie to robił dalej. Rząd nie będzie tej uzurpacji uznawał, i oczywiście słusznie. Nieszcześnie polega na tym, że PiS zniszczył organ państwa, który mógłby od strony formalnej te uzurpacje uczynić bezprzedmiotowymi, czyli Trybunał Konstytucyjny. Kiedy w Polsce w latach 2007–2010 trwał ostry spór między rządem, notabene Donalda Tuska, i prezydentem Kaczyńskim o to, kto prowadzi polską politykę zagraniczną, to rzecz z inicjatywy rządu trafiła do Trybunału Konstytucyjnego i Trybunał Konstytucyjny rozstrzygnął – nie było to trudne rozstrzygnięcie, bo o tym wprost mówi jeden z artykułów konstytucji – że politykę wewnętrzną i zagraniczną prowadzi Rada Ministrów. Aczkolwiek w sentencji wyroku Trybunału Konstytucyjnego znalaziono pewne miejsce dla prezydenta, bo mamy w Polsce podzieloną władzę wykonawczą między rząd i między prezydenta, choć oczywiście lwia część tych kompetencji przysługuje rządowi. Tymczasem PiS zdemolował Trybunał Konstytucyjny i nie ma tego, kto mógłby ten spór rozstrzygnąć, nie ma komu położyć tamy tej prezydenckiej uzurpacji. Tę tamę kładzie rząd, nie uznając szeregu decyzji prezydenta, nie uznając władztwa prezydenta w różnych dziedzinach. Widać to w sprawie awansowej. Prezydent uzurpuje sobie zwierzchnictwo nad służbami specjalnymi, chcąc poza wiedzą premiera kontaktować się ze służbami. Premier się na to nie zgadza. Prezydent mści się, nie podpisując awansów, i nie ma organu, który by stwierdził, że prezydent jest zobowiązany, jeśli wszystko jest przedstawione lege artis, by te awanse podpisać. I tak będzie w sze-

regu różnych dziedzin życia, więc czeka nas trudny okres.

Nie ma Pan wrażenia, że przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy ta konstytucja została tak rozciągnięta, jak to Pan nazwał, tak dopasowywana do potrzeb ekipy rządzącej, że przestała być szanowana?

Wie pani, na pewno szacunku dla konstytucji w tych latach 2015–2023 nie było ani po stronie prezydenta Dudy, ani po stronie rządowej. Zniszczono Trybunał Konstytucyjny, a to bardzo ważny organ, który jako jedyny w państwie może rozstrzygnąć spory na szczytach władzy. Teraz nowa ekipa od 2023 roku chce przywrócić praworządność, ale bardzo trudno to zrobić, jeśli po stronie prezydenta nie ma takiej woli. Więc jesteśmy w dużym kłopotcie. Ale tak naprawdę najważniejszą nadzieją w tej sytuacji – bo nigdy nie jest tak, żeby nie było nadziei – jest stanowisko obywateli, o czym już wspominaliśmy. Żaden polityk nie będzie stosował strategii, która nie daje mu obywatelskiego poparcia, także Karol Nawrocki. Jeśli Karol Nawrocki przesadzi ze strategią blokowania rządu i rząd znacznie przekonywać skutecznie obywateli, że złe działanie państwa to wina blokującego prezydenta, to prezydent będzie musiał zmodyfikować swoje działania. Przecież on po to blokuje rząd, żeby pomniejszać liczbę jego zwolenników. Jeśli okaże się, że to działanie jest przeciwskuteczne, to z niego zrezygnuje. Przed tym bombardowaniem na szczytach władzy, które trwa, nie musimy się chować do schronów i czekać, aż przejdzie. Nie, my, nasz osąd może sprawić, że to bombardowanie ustanie, bo skoro będziemy wobec niego krytyczni, to politycy zaprzestaną tej wojny. Żaden z polityków nie będzie działał w sposób, który będzie usuwał mu grunt spod stóp.

Pan, jako historyk, przypomina sobie taką trudną kohabitację?

Nie. Napisałem książkę, historię polskich prezydentur od 1989 roku do 2017 roku, ale tak trudnej kohabitacji nie było. Owszem, iskrzyło, był prezydent Wałęsa konfrontujący się z rządem SLD–PSL, był prezydent Kwaśniewski, któremu przyszło współrządzić z rządem AWS–u i Unii Wolności, był Lech Kaczyński, który współrządził z rządem Donalda Tuska. Tam były śpięcia, raz większe, raz mniejsze, ale zawsze interes państwa był tą granicą, której żadna ze stron nie przekraczała. A to, co jest w tej kohabitacji najbardziej charakterystyczne, to fakt, że w tej wojnie interes państwa się nie li-

czy. Liczy się przede wszystkim zniszczenie drugiej strony. Mówię zwłaszcza o działaniach prezydenckich, ale jak mówię – logika wojny jest taka, że kiedy jedna ze stron sięga po jakąś broń, to strona broniąca się musi sięgnąć po równie potężny oręż. I niestety, broniąc się, druga strona też potrafi działać niszczycielsko. Ale, jak mówię, mam tu jasny osąd, kto jest winny temu konfliktowi. A wracając do pani pytania: tak ostrej konfrontacji jeszcze nigdy nie było, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Co takiego może zrobić rząd? Po jaką broń sięgnąć?

Uważam, i na tym polega też ryzyko strategii prezydenckiej, że tak naprawdę większą moc działania ma rząd. Co może zrobić rząd wobec tej uzurpacji ustrojowej Karola Nawrockiego? Nie uznawać jej. I rząd to robi.

No dobrze, ale nominacji nie ma, orderów nie ma, odznaczeń nie ma, są za to prezydenckie weta.

Wie pani, bez orderów można żyć. Nominacje można obejść, chociaż nie powinno się ich obchodzić, nie powinno się stosować bypassów, bo bypass w państwie praworządnym też jest działaniem na granicy praworządności. Ale proszę zwrócić uwagę: pan prezydent nie podpisuje nominacji oficerskich, a pan minister wydaje rozporządzenie, które przyznaje tym ludziom dodatki oficerskie, choć nie są oficerami, prawda? To jest trochę tak, jakby uczeń dobrze się uczył, zdał do następnej klasy, ale konflikt nauczyciela z dyrektorem sprawił, że świadectwa nie dostał, a bez tego świadectwa nikt nie uzna jego wykształcenia. W sytuacji braku nominacji oficerskich pan minister podjął decyzję, że uznaje wykształcenie bez świadectwa. Więc takie działania mogą być podejmowane i rząd je podejmuje. Natomiast jeśli chodzi o weta do ustaw, to rząd oczywiście może jakoś rozmasowywać tę sytuację przy pomocy rozporządzeń i aktów niższej rangi, choć braku ustawy nie przeszkodzi, ale tutaj otrzewniając na prezydenta może działać dezaprobatą czy wręcz oburzeniem ludzi, których brak takiego rozwiązania dotyka. Weźmy ostatni przykład: prezydent zawetował ustawę, która dawała rządowi narzędzia do monitorowania i kontrolowania rynku kryptowalut. To ogromne ryzyko, bo jeśli wybuchnie teraz jakaś afeta związana z kryptowalutami, taka jak na przykład Amber Gold czy inne głośne afery finansowe, to jak się prezydent uchyli od odpowiedzialności za tę aferę?

Nie uchyli się. Rząd powie: „Wina Nawrockiego”.

Oczywiście. Zwłaszcza że obydwie strony będą coraz chytrzejsze i będą usiłowały tak te wzajemne ataki kierować, aby zwiększać ryzyko działania drugiej strony.

Kto, Pana zdaniem, wyjdzie z tej wojny bardziej poobijany?

W mojej ocenie prezydent. Na wojnie większą szansę zwycięstwa ma ten, kto ma większy potencjał zbrojeniowy, a polska konstytucja daje rządowi więcej kompetencji w rządzeniu krajem i moim zdaniem to rząd ma więcej możliwości realnego działania. Więc uważam, że jeśli tylko rząd będzie zachowywał się rozważnie – a w zachowaniach Donalda Tuska widzę wiele rozważań, wiele doświadczenia – to prezydent będzie w coraz większych opałach. I nawet nie chodzi o prezydenta, tylko chodzi o prawicę. Obywatele są znacznie mądrzejsi niż się politykom wydaje, wierzę w mądrość obywatelską. Przecież strategia Karola Nawrockiego miała mu przynieść osobistą popularność, ale też wzrost popularności PiS–u i prawicy. A jak wyglądają sondaże PiS–u? Spadają. Już teraz widzimy, że strategia Karola Nawrockiego na totalną konfrontację z rządem odbija się rykoszetem i godzi w PiS. I to jest problem dla Jarosława Kaczyńskiego. Ośrodek prezydencki będzie mrugał okiem i mówił: „Przecież prezydent dobrze działa, to Jarosław Kaczyński sobie nie radzi ze swoją formacją”, ale tak naprawdę ta zadyszka polowska to, moim zdaniem, efekt totalnej wojny na górze. Ludzie oczekują od władzy skuteczności. Ludzie oczekują od władzy, że będzie im zapewniała bezpieczeństwo, godziwe warunki życia, godziwe warunki płacy. Ludzie patrzą krytycznie na tę wojnę na wyniszczenie, ona im nie odpowiada. Jak na razie odbija się to na notowaniach PiS–u, ale nie odbija się na notowaniach Platformy. Im mocniej prezydent atakuje, tym bardziej Platformie przyrasta poparcie, chociaż kosztuje mniejszych partii koalicyjnych. Nasze oceny obywatelskie naprawdę w tym konflikcie mają ogromne znaczenie.

Bo wiadomo, że gra idzie o wybory parlamentarne 2027 roku.

I prezydenckie w 2030, oczywiście. Choć prezydenckie są trzy lata po tych z 2027 roku. Ale ma pani rację: chodzi przede wszystkim o te bliższe wybory. Jeśli popatrzeć przez ich pryzmat na grę prezydenta Nawrockiego, to wcale się ona PiS–owi, przynajmniej na razie, nie opłaca.



FOT. EAST NEWS

NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN. KRAJE NATO CIĄGLE NIE WIEDZĄ, JAK SKŁONIĆ ROSJĘ DO ROZMÓW

Ani Amerykanie, ani kraje Europy nie mają żadnego pomysłu na to, jak zakończyć wojnę na Ukrainie. Władimir Putin to widzi i bezwzględnie wykorzystuje paraliż decyzyjny Zachodu

Agaton Koziński

Propozycje te nie były amerykańskim dyktandem, który wszystkie strony musiały zaakceptować, ale raczej punktami do dyskusji – tak bardzo ceniony przez mnie ekspert Walter Russell Mead skomentował na łamach „Wall Street Journal” zamieszczenie z planem pokojowym dla Ukrainy z końca listopada. Te słowa napisał, jeszcze zanim zapadł wyznaczony przez Donalda Trumpa termin, do którego wszystkiego strony „musiały” go zaakceptować. Słowo „musiały” celowo piszę w cudzysłowie, bo gołym okiem widać, że to był tylko bluff. Jakże charakterystyczny dla obecnego prezydenta. Ale także bardzo mało skuteczny. Wygląda na to, że świat powoli oswaja się z jego taktyką negocjacyjną. W każdym razie w tej sekwencji zdarzeń rozbijającej się wokół Ukrainy nikt nie posunął się do przodu.

Nikt poza Rosją, która właśnie ogłosiła, że zdobyła Pokrowsk w Donbasie – miasto, o które walki trwały ponad rok, a których intensyfikacja nastąpiła tej jesieni.

„Ukraina, Rosja, sojusznicy z Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego: wszyscy mogą wziąć udział w procesie tworzenia ostatecznego porozumienia, które, jak ma nadzieję administracja Trumpa, zostanie osiągnięte” – to dalsza część wywodu Meada z „WSJ”. Ostatnie dni pokazały, że rzeczywiście rozmowy trwają na całego. Najwięcej szumu wywołała wizyta delegacji Białego Domu w Moskwie. Na spotkanie z Władimirem Putinem udali się Steve Witkoff i Jared Kushner. Ale rozmowy i ustalenia prowadzono też w Brukseli – w Kwaterze Głównej NATO i Komisji Europejskiej.

Spotkań było dużo. Różne formaty, różne aspekty, różne składy. I jeden mianownik: żadnego konkretnego, który by z nich wynikał.

„Stany Zjednoczone i Rosja wzięły udział w szczegółowym, owocnym spotkaniu. Specjalny wysłannik Witkoff i pan Kushner poinformowali następnie prezydenta i Ukraińców o jego przebiegu” – powiedział lapidarnie przekazały służby Białego Domu. Tłumacząc z dyplomatycznego na nasze: nic nie udało się osią-

gnąć. Amerykanie nieoficjalnie wypuścili nawet informację, że Putin odrzucił przedstawiony mu plan pokojowy, ale Rosjanie to natychmiast zdementowali. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow przekonywał, że Rosja wyraża gotowość do kontynuowania rozmów. Z kolei doradca przywódcy Rosji, Jurij Uszakov przekazał, że nie udało się, jak dotąd, wypracować kompromisowego wariantu planu pokojowego. – Niektóre amerykańskie propozycje są do przyjęcia, ale trzeba nad nimi popracować. Inne, które zostały nam przedstawione, są nie do przyjęcia – powiedział.

Jeszcze inną wersję wydarzeń przedstawił Kijów. Minister spraw zagranicznych Ukrainy Andrij Sybiha powiadomił, że Witkoff skontaktował się z delegacją ukraińską po wtorkowych rozmowach w Moskwie na temat zakończenia wojny na Ukrainie. „Przedstawiciele delegacji amerykańskiej poinformowali, że ich zdaniem rozmowy w Moskwie przyniosły pozytywny wynik. Zaprośili oni delegację ukraińską do kontynuowania rozmów

w Ameryce w najbliższej przyszłości” – powiedział, dodając, że w najbliższym czasie ukraińska delegacja może udać się do Waszyngtonu na dalsze rozmowy.

Kolejny teatr rozmów to kwatera główna NATO, gdzie spotkali się szefowie MSZ państw Sojuszu. Na papierze wygląda to nawet na spotkanie z konkluzjami, gdyż dwie trzecie państw członkowskich NATO zadeklarowało udział w finansowaniu uzbrojenia dla Ukrainy w ramach programu PURL. Dotychczasowe zobowiązanie to 4 mld dolarów. Informację o tym przekazał sekretarz generalny Sojuszu Mark Rutte. Udział Polski – jak podkreślił wicepremier Radosław Sikorski – to 100 mln dol.

Wygląda to godnie, tylko że od razu pojawiają się dwa pytania. Po pierwsze, na co właściwie ta suma wystarczy? Na pewno pozwoli Ukrainie przetrwać – ale też nie jest na tyle duża, by dokonać przełomu na linii frontu. Po drugie, skąd te pieniądze? Niestety, duża część z nich to pieniądze deklarowane jako pomoc po raz kolejny. Sikorski przekazał 100

mln dolarów zapowiedział już tydzień temu, za co zresztą zebrał ostrą krytykę ze strony Konfederacji. Na spotkanie na szczycie NATO opowiedział po prostu o nich po raz kolejny. Podobnie jak inni wysłannicy krajów Sojuszu. Dyplomatyczna gra znaczącymi kartami.

I kolejna arena: Komisja Europejska. Ursula von der Leyen występując na forum Parlamentu Europejskiego w ubiegłym tygodniu zapowiedziała, że przedstawi projekt wydziału zamrożonych w europejskich bankach funduszy europejskich. I właśnie to zrobiła – ale w sposób, który dalej nie zdejmuje z Belgii (kraj, który kontroluje 2/3 zamrożonych aktywów) odpowiedzialności za ten ruch, tymczasem belgijski premier właśnie tego oczekiwał. – Ważne było, aby uwzględnić wszystkie obawy Belgii. Mamy absolutnie ten sam cel co Belgia, uważamy, że ryzyko musi zostać podzielone między nas wszystkich. Musimy też wprowadzić – co zaproponowaliśmy – mechanizmy chroniące wszystkie nasze państwa członkowskie, i to

oczywiście dotyczy również Belgii – powiedziała von der Leyen. Ale belgijski rząd nie poczuł się szczególnie uspokojony tymi zapewnieniami. Dziś jesteśmy tak samo daleko od przekazania zamrożonych funduszy Ukrainie jak tydzień temu.

I kolejny element układanki służącej wywieraniu presji na Rosję: pozbawienie jej możliwości zarabiania pieniędzy na eksporcie węglowodorów do Europy. Ursula von der Leyen zapowiedziała, że UE całkowicie zrezygnuje z kupowania ropy i gazu z Syberii. „Zamykamy tę kartę i zamykamy ją na dobre. Wielu uważało, że to niemożliwe, ale liczby mówią same za siebie – podkreśliła szefowa KE. I podawała liczby. Według niej rosyjski import gazu skroplonego LNG i z gazociągów spadł z 45 proc. na początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę w 2022 r. do 13 proc., import węgla – z 51 proc. do zera, a import ropy naftowej – z 26 proc. do 2 proc. obecnie.

„To decyzja bezprecedensowa, ale konieczna” – argumentował komisarz UE ds. energii Dan Joergensen. „Putin wykorzystał energię przeciwko nam, szantażował państwa członkowskie Unii i wykorzystał zyski do finansowania swojej okrutnej wojny z naszymi przyjaciółmi na Ukrainie. Dziś mówimy „dość” i nigdy więcej. Nigdy nie wrócimy do niebezpiecznej zależności od Rosji, do niestabilnych dostaw i manipulacji rynkiem, do szantażu energetycznego i narażania gospodarki na ryzyko” – mówił.

Można by te słowa wziąć za dobrą monetę, gdyby nie data – odciecie od rosyjskich surowców kopalnych ma nastąpić dopiero w 2027 r. Innymi słowy – kraje Unii przez cały kolejny rok zamierzają dalej płacić Rosji za surowce, mimo że dobrze wiedzą, że zyski służą finansowaniu wojny przeciwko Ukrainie. Żeby złapać proporcję: wojna wybuchła w lutym 2022 r., cztery lata temu. Trudno więc uznać tę propozycję von der Leyen za przełomową. Delikatnie rzecz nazywając.

„Putin widzi, że ani Amerykanie, ani Europejczycy nie mają strategii ani woli, by zakończyć wojnę na Ukrainie” – kolejny cytat z Waltera Russella Meada, tym razem z wywiadu, którego pod koniec listopada udzielił dziennikowi „Le Figaro”. Ten amerykański intelektualista odnosił się w nim przede wszystkim do tego, w jaki sposób Donald Trump zmienia świat. I zwrócił uwagę na jedną – zasadniczą jego zdaniem – konsekwencję jego wyboru na prezydenta USA. „Interpretuję Trumpa niemal jako sąd boży nad głupotą i porażkami zachodniego establishmentu. Jeśli tak jest i to on jest plagą zesłaną na nas, będziemy musieli znów zacząć traktować sprawy poważnie, żeby coś się zmieniło” – podkreślił. Patrząc na ten brak sprawczości Zachodu w relacjach z Rosją – po niemal czterech latach wojny na Ukrainie – trudno z tymi słowami polemizować. PAP



Ćwiczenia rosyjskich wojsk powietrzno-desantowych

CZY ROSJA ZAATAKUJE KRAJE BAŁTYCKIE?

Władimir Putin może podjąć próbę zajęcia krajów bałtyckich, aby poprawić swoją pozycję negocjacyjną wobec Stanów Zjednoczonych: hipotetycznie Rosja jest w stanie otworzyć drugi front już na początku przyszłego roku. Tak uważają niektórzy analitycy, inni twierdzą, że Moskwa nie zaryzykuje wojny na dwa fronty. Pytanie, czy Putin na takie przekonanie właśnie nie liczy?

Grzegorz Kuczyński

Minister obrony Niemiec Boris Pistorius mówi, że niektórzy z jego kolegów uważają minione lato za „ostatnie pokojowe lato w Europie”. Ich zdaniem zagrożony jest przede wszystkim korytarz suwalski – wąski pas ziemi między obwodem królewieckim a Białorusią, leżący na pograniczu Polski i Litwy.

Gra o korytarz suwalski

Ograniczona operacja z szybkimi rezultatami, aby postawić NATO w niewygodnej sytuacji, a następnie negocjować z nim warunki pokoju na Ukrainie, mając taką przewagę. Na przykład zajęty kawałek terytorium NATO. To samo dotyczy Suwałk – mówi analityk wojskowy Siergiej Ausländer.

Ten obszar na granicy Litwy i Polski często nazywany jest „piętą achillesową” NATO, a kilka lat temu magazyn Politico napisał, że jest to „najniebez-

pieczniejsze miejsce na świecie”. Jednocześnie kraje Sojuszu zwracają szczególną uwagę na bezpieczeństwo tego terytorium, regularnie przeprowadzane są tu ćwiczenia, jednak ekspert wojskowy Grigorij Tamar uważa, że to nie wystarczy.

Piąta kolumna Kremla

W krajach bałtyckich znajduje się obecnie grupa NATO licząca około 10 tysięcy żołnierzy. Nie można powiedzieć, że to nic, ale z pewnością nie jest to wystarczające, aby przeciwdziałać inwazji na dużą skalę. Jeśli mówimy o operacji specjalnej, bazy te zostaną zablokowane. Przy takim rozwoju wydarzeń bardzo trudno mi sobie wyobrazić, że wojska NATO podejmą jakąś heroiczną próbę przebicia się, aby kogoś tam chronić. W najlepszym przypadku będą bronić samych siebie – mówi Tamar.

Analitycy dopuszczają, że przed atakiem Kreml może za-

syjskojęzycznej ludności. Obecnie na Litwie, Łotwie i w Estonii mieszka ponad 850 tysięcy Rosjan. Lwia część z nich – właśnie w regionach graniczących z Rosją i Białorusią.

Najpierw szybko organizujemy kampanię informacyjną o tym, że Rosjanie są prześladowani w Estonii. Następnie organizujemy, na przykład, pismo od jakiegoś stowarzyszenia Rosjan w Estonii, w którym apelują o naszą ochronę, po czym pojawia się powód do inwazji. Nie szukają teraz pretekstu do inwazji, tylko go tworzą – mówi Siergiej Ausländer.

Wojna na Bałtyku?

Litewski ekspert wojskowy, major rezerwy Darius Antanaitis uważa, że w obecnych warunkach rozpoczęcie kolejnej wojny przez Rosję byłoby bardzo trudne, ponieważ po przystąpieniu Szwecji i Finlandii do Sojuszu Morze Bałtyckie stało się faktycznie „jeziorem NATO”.

Aby zbliżyć się do wybrzeży Litwy, nie będą wykorzystywać sił morskich w Kaliningradzie, ale flotę bałtycką. Muszą wypłynąć z Sankt Petersburga. Aby to zrobić, muszą zapewnić sobie bezpieczne przejście przez Zatokę Fińską, gdzie z jednej strony znajduje się Finlandia, a z drugiej – Estonia. Oznacza to, że wojnę trzeba będzie rozpocząć właśnie tam. Aby zablokować nas na Bałtyku, należałoby zająć wyspę Gotlandię – mówi Litwin.

Rosja gotowa na wojnę na dwa fronty?

Były zastępca dowódcy sił NATO w Europie, generał Richard Shirreff, uważa, że Rosja jest w stanie rozpocząć pełną wojnę na Bałtyku już w 2027 roku. To samo stwierdzono w raporcie duńskiego wywiadu.

Jednak były szef Ministerstwa Obrony Litwy Laurynas Kasčiūnas nie zgadza się z taką oceną. Rosjanie nie byłoby obecnie w stanie prowadzić dwóch

wojen jednocześnie: „Nie spałbym się z rokiem 2027. W tym sensie, że będzie to zależało od tego, jak zakończy się wojna na Ukrainie, jak wszystko się ułoży, jak długo Ukraińcy będą jeszcze walczyć, czy dojdzie do rozejmu, czy przewiduje on zniesienie sankcji, czy nie. Wiele czynników jest niemożliwych do przewidzenia. Na razie można założyć, że Rosjanie nie byłoby w stanie prowadzić dwóch wojen jednocześnie. To fakt. Nie mogą otworzyć drugiego frontu”.

Jest mało prawdopodobne, że Rosjanie zaatakują, ponieważ są mocno uwikłani na Ukrainie i najprawdopodobniej wszystkie siły, które są w stanie zebrać, rzucają tam, aby załatać swoje dziury – dodaje Raimundas Vikišnoras, dowódca Sił Zbrojnych Litwy.

Rosyjski analityk i bloger Dmitrij Czernyszow uważa, że takiego scenariusza nie można jednak wykluczyć: „Putin nie boi się wojny – gospodarka wojenna już działa na pełnych obrotach – tak bardzo, jak boi się pokoju, kiedy cała zbudowana piramida się zawali, z frontu powrócą setki tysięcy żołnierzy z bronią, a represje nie będą miały uzasadnienia. W Radzie Bezpieczeństwa FR są przekonani, że Estończycy, Litwini i Łotysze nie będą stawiać takiego oporu jak Ukraińcy. Putin zawsze działa w ten sam sposób – w trudnej sytuacji podwaja stawkę, aby mieć czym się targować”.

Putin przetestuje artykuł piąty

Sojusznicy z NATO konsekwentnie przekonują kraje bałtyckie, że w przypadku ataku wroga na Litwę, Łotwę i Estonię na pewno przyjdą im z pomocą. Siły Sojuszu, zgodnie z nowymi

planami, są gotowe nie tylko do odzyskania, ale także do obrony krajów bałtyckich od pierwszej minuty ewentualnego ataku.

Analityk polityczny Iwan Preobrażenski uważa, że nie do końca jasne jest, jak będzie działać zasada zbiorowej obrony: „Nie sądzę, aby Rosja nadal traktowała piąty artykuł poważnie. Wręcz przeciwnie, widzi, że ma coraz większe szanse, aby sprawdzić wytrzymałość NATO właśnie za pomocą zagrożeń hybrydowych, nie wprowadzając wojsk, nie atakując nikogo, nie zabijając, ale tworząc sytuację bardzo silnej presji, która podważa suwerenność, ale teoretycznie nie narusza jej bezpośrednio”.

W jedności siła NATO

Z drugiej strony, były sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg niedawno powiedział w wywiadzie dla Radia Wolna Europa, że Sojusz Północnoatlantycki nie tylko słowami, ale i czynami pokazuje, że bezpieczeństwo bałtyckich sojuszników jest dla niego bardzo ważne.

Jedną z najważniejszych decyzji, jaką podjęliśmy, była ta z 2016 r. – po nielegalnej aneksji Krymu. Po raz pierwszy w historii NATO rozmieszczono jednostki bojowe – wielonarodowe siły NATO – we wszystkich krajach bałtyckich i w Polsce. Jest to bardzo wyraźny sygnał, że NATO jest tam obecne w pełnym składzie. Zwiększyliśmy również gotowość naszych sił, ich zdolność do szybkiego przemieszczania się, wzmacniania pozycji, a także opracowaliśmy pełen zestaw nowych planów wojskowych. Wszystko to wysłało Rosji bardzo jasny sygnał: atak na jednego sojusznika spowoduje reakcję całego Sojuszu – zapewnia Norweg.

REKLAMA 0311243884

Tvoja jesienna kolekcja marzeń
- tylko w
CENTRUM MODY
NADARZYN

Czynne w każdej
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy

CM
ELEGANCJA

Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

KATASTROFA ŚMIGŁOWCA WE MGLE

- Powinniśmy żyć tak, jakby każdy dzień mógł być ostatnim. Aby kiedyś wspomniano nas dobrze, tak jak my dziś wspominamy tych dwóch wspaniałych chłopaków - mówi o ofiarach katastrofy śmigłowca Dariusz Łapa, starosta przeworski

Stanisław Sowa

Sobota, 29 listopada, godzina 15.50. Dyżurny Państwowej Straży Pożarnej w Rzeszowie przyjmuje zgłoszenie od mieszkańca o pożarze śmigłowca w lesie. Miejsce zdarzenia: wzgórze wyrastające na wschód od Rzeszowa, okolicę górnej Malawy i Cierpisa. To styk powiatów rzeszowskiego i łańcuckiego.

Gdy z niemałym trudem, bo przebijając się przez gęstniejącą mgłę i nastające ciemności, docieramy w okolice miejsca katastrofy, na wąskiej asfaltówce między Malawą a Wolą Rafałowską zauważamy długi sznur pojazdów strażackich i policyjnych na sygnałach alarmowych. Przyjeżdżają samochody wojskowe i karetki.

Okazuje się, że jesteśmy pierwszymi dziennikarzami. Niestety, nie możemy się dostać do miejsca katastrofy - służby otaczają teren szczelnym kordonem. Ruch w stronę Woli Rafałowskiej i Cierpisa został wstrzymany, a policja kieruje użytkowników ruchu na objazdy.

Jesteśmy na wysokości prawie 400 m n.p.m. W odległości ok. 200 metrów od nas znajduje się zabytkowy kościółek św. Marii Magdaleny oraz wieża widokowa, z której - w warunkach inwersji - można dojrzeć na horyzoncie Tatry. Jeśli śmigłowiec nadlatywał od Rzeszowa, który położony jest na wysokości około 200 m n.p.m., pilot musiał kontrolować wzrastającą wysokość terenu. Była gęsta mgła, prawie zero widoczności. Co wskazywały urządzenia pokładowe?

Przybywa gapiów. Ludzie dowiadują się o katastrofie helikoptera z radia lub internetu. Wiele osób próbuje robić zdjęcia i nagrania. Z marnym skutkiem, bo mgła taka, że prawie nic nie widać. W dodatku zapadają ciemności. Gdy wraz z coraz liczniejszą grupą dziennikarzy czekamy na oficjalny komunikat, pojawia się młody mężczyzna. Mówi, że tu mieszka i był świadkiem zdarzenia.

Usłyszał jakby huk

- Była godzina 15.30, gdy usłyszałem, że coś przelatuje, a po chwili jakby huk. Ale nie przywiązałem do tego większej wagi. Gdzieś za dziesięć czwartą dostałem telefon, że rozbił się samolot gdzieś koło nas. Wsiadłem na quada i przyjechałem tutaj. Był już pierwszy wóz strażacki. Żadnych płomieni ani dymu nie widziałem. Mgła była taka, że było widać na odległość pięciu metrów - relacjonuje Adrian Porada.

W końcu mamy oficjalny komunikat. Podkomisarz Magdalena Żuk, oficer prasowy Komendy Miejskiej Policji w Rzeszowie, potwierdza, że znaleziono ciała dwóch osób. Pożar został ugaszony. W pobliżu nie ma zabudowań, więc nie było zagrożenia bezpieczeństwa innych osób. Policjanci wraz z prokuratorem przeprowadzą oględziny miejsca zdarzenia. Został o nim poinformowany przewodniczący Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych.

Śmigłowiec spadł w miejscu, do którego dojazd jest znacznie utrudniony ze względu na ukształtowanie terenu, błoto oraz warunki pogodowe. Strażacy dotarli więc pieszo oraz na quadach.

Służby potwierdzają, że ofiary to mieszkańcy powiatu przeworskiego, 41-latek i 44-latek, a rozbity śmigłowiec to Robinson R44.

Co to za maszyna?

Helikopter Robinson R44 to czteromiejscowy lekki śmigłowiec produkowany przez Robinson Helicopter Company od 1992 roku. Projekt został oparty na konstrukcji śmigłowca Robinson R22. Pierwszy lot R44 odbył się 31 marca 1990 roku, a certyfikat Federal Aviation Administration (FAA) uzyskał w grudniu 1992 r. Pierwsza dostawa maszyn dla odbiorcy odbyła się w lutym 1993 r.

W Polsce helikopter tej klasy, znany jako Błękitny 24, wykorzystywany był przez telewizję TVN24 do relacjonowania i nadawania programów

na żywo z powietrza. Dwie tego rodzaju maszyny trafiły też w 2018 roku do Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Również w 2018 roku śmigłowce R44 zostały wybrane przez Lotnicze Pogotowie Ratunkowe w przetargu na dostawę dwóch śmigłowców szkolno-treningowych. W 2019 r. śmigłowiec R44 został odebrany przez straż graniczną.

Helikopter zboczył z kursu

Niedziela, 30 listopada. Na miejscu tragedii pojawiają się przedstawiciele Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, pracuje też prokurator z Prokuratury Okręgowej w Rzeszowie. Teren w promieniu kilkuset metrów od miejsca katastrofy jest wciąż zamknięty dla osób postronnych.

- Przeprowadzane są wszystkie niezbędne czynności procesowe, w tym oględziny i zabezpieczenie śladów - informuje mł. asp. Tomasz Domka z Komendy Powiatowej Policji w Łańcucie.

Jak wynika ze wstępnych ustaleń Prokuratury Okręgowej w Rzeszowie, która 1 grudnia wszczęła śledztwo, początkowo helikopterem podróżowały 3 osoby; leciały z Krosna. Następnie doszło do międzylądowania w Zagorzycach, gdzie wysiadła jedna osoba. 2 osoby wyruszyły w lot, którego celem były okolice Przeworska. W rejonie Malawy helikopter zboczył z kursu wschodniego na północny i - tracąc wysokość - zaczął zahaczać o czubki drzew. Około godziny 15.35 rozbił się w lesie, w odległości około 700 metrów od drogi prowadzącej z Malawy do Woli Rafałowskiej. Ofiary to bracia: 41-letni Mariusz S. oraz 44-letni



Strażacy ruszyli na miejsce katastrofy quadami i pieszo, pokonując nierówności terenu i błoto, aby ugasić pożar szczątków śmigłowca i lasu

Krzysztof S., właściciel firmy w Przeworsku.

- Prawdopodobną przyczyną tego zdarzenia były bardzo trudne warunki atmosferyczne, które panowały tego dnia, mianowicie gęsta mgła, która w znaczący sposób ograniczała widoczność, oraz duża wilgotność powietrza, która również mogła mieć wpływ na silnik helikoptera - informuje Katarzyna Drukpa, zastępca prokuratora okręgowego w Rzeszowie. Podkreśla, że to są wstępne ustalenia.

Na miejscu katastrofy pobrane zostały m.in. próbki paliwa i oleju z wraku. Spalony wrak helikoptera został zabezpieczony do dalszych badań. Przesłuchano świadków. Śledczy znaleźli też dokumenty świadczące o tym, że zaledwie dzień wcześniej helikopter pozytywnie przeszedł przegląd techniczny.

Dzień później prokuratura poinformuje, że przeprowadzono sekcje zwłok zmarłych mężczyzn. „Wstępne wyniki sekcji zwłok wykazały na niemal identyczne obrażenia: liczne złamania kości czaszki, uraz czaszkowo-mózgowy oraz złamania żeber połączone z uszkodzeniem wielu narządów wewnętrznych. Biegły ocenił je jako urazy wielonarządowe. Z ustaleń wynika, że śmierć obu mężczyzn nastąpiła natychmiastowo. Podczas sekcji pobrano także krew i płyny ustrojowe do dalszych badań toksykologicznych, których wyniki będą podstawą do postępowania” - brzmi komunikat prokuratury.

To byli porządni ludzie

Poniedziałek, 1 grudnia. Jesteśmy w podprzeworskim Stu-

dzianie, rodzinnej wsi przedsiębiorców. Jak opowiadają mieszkańcy, helikopter był im dobrze znany. Często widywali maszynę latającą nad okolicą, czasem nawet późnymi godzinami nocnymi.

Sołtysa wsi, Antoniego Żyłę, zastajemy mocno zajętego. Właśnie chodzi od domu do domu i roznosi wśród mieszkańców wigilijne opłatki.

- Od urodzenia mieszkali tutaj. To byli porządni ludzie - opowiada sołtys łamiącym się głosem o Mariuszu i Krzysztofie. - Kiedy usłyszałem o tragedii, to był dla mnie szok. A potem zaczęły się telefony, ludzie dopytywali, czy to prawda.

Co mówią mieszkańcy, gdy zachodzi do domów z wigilijnymi opłatkami?

- Że nie mogą w to uwierzyć. Że to nie powinno się wydarzyć. To ogromna tragedia dla rodziny. W imieniu całej wsi chcę przekazać najbliższym szczerze, głębokie wyrazy współczucia. Mariusz i Krzysztof wspierali naszą społeczność, nigdy nie byli obojętni. Jeśli ktoś prosił o pomoc, to zawsze znaleźli sposób, żeby pomóc. To dla nas ogromna strata, cała wieś jest pogrążona w żałobie - zapewnia Żyła.

Wszyscy nasi rozmówcy wspominają ofiary jako życzliwych, pracowitych i bezinteresownych ludzi.

- Nie znałem ich osobiście, ale ojca bardzo dobrze znam. Wśród ludzi jest tylko żal, ogromny żal. Niedowierzanie, bo to młodzi ludzie, którzy mieli całe życie przed sobą. Zostawili żony, dzieci... Wszyscy o nich mówią dobrze, bo tacy po prostu byli - opowiada pan Józef.

- Niedawno rozmawiałam z Mariuszem. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. To jest niewyobrażalna tragedia, coś, czego nikt się nie spodziewał. Dla nas wszystkich to szok - dopowiada przysłuchująca się naszej rozmowie kobieta.

Lokalni samorządowcy we wpisach i kondolencjach podkreślają wielkie zasługi zmarłych przedsiębiorców. Mariusz Superson i Krzysztof Superson anga-

żowali się w różne przedsięwzięcia. Ufundowali witraże w kościele, sponsorowali klub piłkarski. Prowadzili świetnie rozwijającą się firmę, która produkuje opakowania foliowe, dawali ludziom pracę. Mariusz pełnił funkcję prezesa zarządu, a Krzysztof był członkiem zarządu. Ostatnio firma SupFol została nagrodzona prestiżową Podkarpacką Nagrodą Gospodarczą w kategorii „Najlepszy Produkt 2025”.

- Kiedy w sobotę około 16.00 dostałem informację, że doszło do nieszczęśliwego wypadku i że nasze służby są zaangażowane, miałem nadzieję, że to nie dotyczy naszych mieszkańców. A jednak... Szok i niedowierzanie towarzyszą nam do dziś. W imieniu samorządu i swoim składam rodzinom najszczerze wyrazy współczucia - mówi Dariusz Łapa, starosta przeworski.

I podkreśla, że ta tragedia pokazuje, jak kruche jest ludzkie życie. - Powinniśmy żyć tak, jakby każdy dzień mógł być ostatnim, z miłością, empatią i wdzięcznością. Tak, aby kiedyś wspomniano nas dobrze, tak jak my dziś wspominamy tych dwóch młodych, wspaniałych chłopaków - zaznacza starosta Łapa.

„Odeszli młodzi, przedsiębiorczy ludzie, aktywnie zaangażowani w życie lokalnej społeczności, pozostawiając po sobie wiele dobra i życzliwości” - czytamy we wpisie w mediach społecznościowych na profilu starosty przeworskiego.

W powietrzu cieszył się każdą chwilą

We wpisie na stronie Aeroklubu Rzeszowskiego Mariusza Supersona żegnają jego przyjaciele.

- Z Mariuszem znaliśmy się prawie 10 lat - mówi Robert Grabowski, instruktor-pilot, sekretarz zarządu Aeroklubu Rzeszowskiego. - Poznaliśmy się, kiedy zaczynał swoją przygodę z lotnictwem. On się szkolił, ja byłem instruktorem. Odbyliśmy wiele wspólnych lotów. Lotnictwo było dla niego wielką pasją, odcodzienną od codzienności. W powietrzu zawsze odpoczywał i cieszył się każdą chwilą. Rozpoczął swoją przygodę z lotnictwem jako pilot samolotów ultralekkich. Miał duże doświadczenie. Później został pilotem śmigłowców. Latał dla przyjemności, ale również w celach biznesowych.

Robert Grabowski zapamięta Mariusza jako człowieka bardzo wrażliwego na potrzeby innych, który angażował się również w życie lokalnej społeczności. - To tam, razem z bratem i resztą rodziny, zapoczątkował swój biznes, który rozwijał. Odniósł ogromny sukces i pomagał tym, którzy tej pomocy potrzebowali. Zawsze można było na niego liczyć - mówi.

Współpraca: Urszula Sobol i Barbara Galas

*WŚRÓD LUDZI JEST TYLKO ŻAŁ,
OGROMNY ŻAŁ. NIEDOWIERZANIE,
BO TO MŁODZI LUDZIE, KTÓRZY
MIELI CAŁE ŻYCIE PRZED SOBĄ.
ZOSTAWILI ŻONY, DZIECI...*

NAJCENNIJSZE DZIEŁO ZRABOWANE PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ. CZY „PORTRET MŁODZIEŃCA” KIEDYKOLWIEK WRÓCI DO KRAKOWA?

516 tysięcy dzieł sztuki i ponad 22 miliony woluminów to liczby strat wojennych, jakie podaje ministerialny Wydział Restytucji Dóbr Kultury. Odnoszą się jedynie do znanych i zarejestrowanych zbiorów. Trudno oszacować rzeczywistą skalę strat poniesionych przez Polskę podczas II wojny światowej. Najśłynniejsza wojenna strata polskich zbiorów to dzieło ukradzione z Krakowa – „Portret młodzieńca” Rafaela Santi. Co o nim wiemy?

Anna Piątkowska

La polskie straty wojenne uznaje się ruchome dobra kultury utracone w wyniku II wojny światowej z terenów Polski po 1945 roku, pochodzące zarówno ze zbiorów publicznych, prywatnych, jak i kościelnych.

W czasie działań wojennych z polskich kolekcji zaginęły takie dzieła, jak: „Portret młodzieńca” Rafaela Santi, „Zwiastowanie pasterschom” Rembrandta, „Diana i Kalisto” Rubensa, XVI-wieczna „Madonna z Dzieciątkiem (zw. Głogowską)” i „Kuszenie św. Antoniego” Lucasa Cranacha Starszego, „Leżąca łwica”, rysunek XV-wiecznego mistrza Albrechta Dürera i jego miedzioryt „Melancholia”, obraz Antona van Dycka „Ecce Homo”. To zaledwie kilka zrabowanych dzieł, o których wiadomo, że podczas wojny nie zostały zniszczone, a ukradzione.

Obszerny katalog dzieł zrabowanych i wywiezionych z Polski znajduje się na stronie dziela-utracone.gov.pl.

Najcenniejsze zrabowane dzieło z polskich zbiorów

Po II wojny światowej w krakowskich zbiorach nie odnaleziono takich dzieł, jak należąca do wawelskiej kolekcji akwarela Juliana Fałata „Widok Krakowa”, fragmentu tryptyku ołtarza z Lusiny dzieła Wita Stwosza lub wykonanego w jego warsztacie (część ołtarza odzyskano - znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie); środkowego fragmentu - „Matka Boska zwraca cyrograf św. Teofilowi” - nadal nie udało się odnaleźć. Ale najśłynniejszą stratą jest „Portret młodzieńca” Rafaela Santi.

„Straty wojenne Muzeum Narodowego w Krakowie obejmują łącznie 1163 obiekty, w tym straty wojenne dzieł sztuki z MNK to 836 obiektów, a 327 to obiekty z Kolekcji Czartoryskich. Są to przedmioty zrabowane przez niemieckich okupantów, którymi między innymi dekorowano siedziby Głównego Guber-

natora, urzędy niemieckie i niektóre lokale użytkowe” - czytamy na stronie Muzeum Narodowego w Krakowie. Po wojnie odzyskano m.in. obrazy Leonarda da Vinci i Rembrandta z tych zbiorów, do dziś nie odnaleziono jednak „Portretu młodzieńca”.

Namalowany w 1514 roku obraz należał do kolekcji Czartoryskich i przed wojną prezentowany był w krakowskim muzeum. Portret nie zawiera podpisu malarza, ale historycy sztuki przypisują jego autorstwo Rafaelowi.

Przedstawia młodego mężczyznę w czarnej czapce na głowie, ubranego w białą koszulę, na którą zarzucone ma futro. Za postacią widoczne jest okno, przez które widać włoski krajobraz. Obraz może przedstawiać samego malarza - historycy sztuki wskazują podobieństwo bohatera do innego autoportretu malarza. Obraz jest bezcenny, ale kwota, jaka pada w jego kontekście, to około 100 milionów dolarów.

„Portret młodzieńca” trafił do polskich zbiorów w pierwszej poł. XIX wieku za sprawą księżnej Izabeli Czartoryskiej, która w rodzinnej rezydencji w Puławach gromadziła zabytki o znaczeniu historycznym i kulturalnym. Kiedy w Krakowie powstało Muzeum Czartoryskich, obraz był w nim prezentowany.

O jego wojennych losach wiadomo tyle, że tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku został ukryty w majątku Czartoryskich w Sieniawie, m.in. z obrazem Leonarda da Vinci. Skrytka została jednak splądrowana i jeszcze w tym samym roku portret trafił do Berlina - w przyszłości miał się znaleźć w planowanym przez Hitlera w Linzu muzeum sztuki. Nigdy ono jednak nie powstało. Obraz został wpisany do specjalnego katalogu zabytków przejętych przez Niemców na terenie Generalnego Gubernatorstwa, gdzie otrzymał numer 141. Z Berlina w 1943 roku „Młodzieniec” wrócił do Krakowa - przejęty



„Portret młodzieńca” Rafaela Santi

przez gubernatora Hansa Franka zawiął w jego rezydencji na Wawelu.

Latem 1944 roku Frank zdecydował o przygotowaniu zbiorów sztuki przechowywanych w Krakowie do ewakuacji. Obraz wraz z innymi dziełami sztuki prawdopodobnie został zdeponowany w Sichowie na Dolnym Śląsku. Trzy skrzynie wybranych dzieł sztuki trafiły do Bawarii: była wśród nich „Dama z gronostajem” i „Krajobraz z miłośnikiem Samarytaninem”, które odzyskano do polskich zbiorów. „Portretu młodzieńca” miało w skrzyniach jednak nie być ze względu na nieporęczne wymiary deski, na której namalowano obraz. Tu ślad po arcydziele się urywa: nie jest wspomniany ani w notatkach, ani w zeznaniach świadków.

W 2012 roku polskie media (powołując się na źródła w MSZ)

donosiły, że zaginiony obraz Rafaela spoczywa bezpiecznie w jednym z bankowych sejfów, jednak resort zdementował te pogłoski.

To on odzyskał „Damę z gronostajem”

W poszukiwaniu „Portretu młodzieńca” zaangażował się jeszcze podczas wojny historyk sztuki, prof. Karol Estreicher jr - bezskutecznie, choć na swoim koncie ma on rewindykację wielu najcenniejszych zrabowanych dzieł.

Karol Estreicher już w czasie wojny zaczął tworzyć podstawy prawne do przyszłej rewindykacji dzieł, w związku z czym w 1945 roku Polska była jedynym krajem przygotowanym do odzyskania skarbów: była kartoteka zrabowanych obiektów i prawdopodobne miejsce, gdzie mogły się znajdować. Es-

treicher - jako jedyny Polak - został zaliczony do grupy tzw. Monuments Men, czyli alianckich historyków sztuki, którzy odnawiali po wojnie zabytki. Wcześniej był też zaangażowany w ewakuację najcenniejszych zabytków wawelskich, m.in. arrasów i Szczerbca.

Estreicher ma swój ogromny wkład w to, że 30 kwietnia 1946 roku do Krakowa przyjechał transport 40 wagonów historii Polski - był tam m.in. ołtarz mariacki, „Dama z gronostajem”, a także 7 wagonów mienia uniwersyteckiego.

Zrabowane dzieła wróciły na Wawel

W grudniu 2021 roku po siedemdziesięciu latach na Wawel powrócił zrabowany obraz Leona Wyczółkowskiego „Góralka/Wiejska dziewczyna w żółtej chuście”, odzyskany dzięki staraniom MKiDN. Rok wcześniej pracownicy Departamentu Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego zidentyfikowali obraz na jednej z aukcji. Szybko udało się potwierdzić proveniencję obrazu i dzięki temu mógł on równie szybko wrócić do zbiorów wawelskich.

W lipcu 2024 roku na Zamek Królewski w Krakowie powróciła kolejna strata wojenna - to „Śmierć ułana”, obraz lwowskiego malarza Kajetana Stefanowicza. Na ślad akwareli trafiono po tym, jak jej zdjęcia zostały opublikowane w mediach społecznościowych. Resort kultury zgłosił sprawę policji - tak kryminalni trafili do posiadacza utraconej akwareli.

Rok wcześniej do królewskiej rezydencji powróciła „Lekcja rysunku” Jana Mauritsa Quinkhardta. Dzieło trafiło na Wawel w 1927 roku wraz z kolekcją prof. Jerzego Mycielskiego; zaginęło w czasie wojny. W 2022 roku obraz trafił do jednego z krakowskich domów aukcyjnych, gdzie został rozpoznany jako strata wojenna. Właściciel nie miał

świadomości, że to zrabowane dzieło. Po rozpoznaniu zwrócił obraz prawowitemu właścicielowi.

Do najbardziej znaczących strat wojennych Zamku Królewskiego na Wawelu należą obiekty z działu malarstwa dawnego, wśród nich „Pejzaż nadbrzeżny” i „Krajobraz z zagrodą i nasypem” Jana van Goyena, „Siwy koń na tle krajobrazu” Paulusa Pottera, „Święta Katarzyna Aleksandryjska z donatorem” XVI-wiecznego malarza włoskiego i „Scena rodzinowa” Isaaca van Ostade. Wśród dzieł sztuki polskiej XIX i XX w. najdotkliwszą pod względem artystycznym stratę stanowią dzieła Piotra Michałowskiego, Maksymiliana Gierymskiego, Artura Grottgera, Jana Rembowski, Jacka Malczewskiego i Leona Wyczółkowskiego czy rzeźby Xawergo Dunikowskiego.

Królewską taszkę prokurator badał ponad dekadę

W listopadzie 2025 roku z Wawelu do wielkopolskiego Kórnik wyjechała taszka - element siodła króla Korybuta Wiśniowieckiego. To także strata wojenna, którą rozpoznano, kiedy w 2013 roku zaproponowano Zamkowi Królewskiemu na Wawelu jej zakup.

Od tego czasu trwało długie i skomplikowane śledztwo prokuratorskie, a taszka czekała w magazynach. Została zrabowana ze zbiorów Biblioteki Kórnickiej i właśnie trafiła do prawowitego właściciela. - Odzyskaliśmy ponad 800 różnych obiektów naszego dziedzictwa kulturowego, natomiast cały czas jesteśmy w wielu procesach restytucyjnych: złożonych jest ponad 200 wniosków w 18 krajach na całym świecie. Tylko w tym roku udało się w wyniku takich wniosków odzyskać 25 obiektów. Ostatnio udało się odzyskać obiekt ze Stanów Zjednoczonych, lada chwila ogłosimy naprawdę przełomowy powrót ogromnego kawałka naszej historii, który został skradziony podczas II wojny światowej - informowała w listopadzie Marta Cienkowska, minister kultury i dziedzictwa narodowego.

Zrabowane obiekty niejednokrotnie są dziś w rękach prywatnych. Ich obecni właściciele często nie mają tej świadomości, wystawiając je na aukcjach, gdzie bywają rozpoznane jako straty wojenne. Potem najczęściej rozpoczynają się negocjacje, ponieważ dzieł zrabowanych państwo nie odkupuje - są zwracane właścicielowi.

Królewską taszkę jej właścicielka oddała, natomiast proces sprawdzania dzieł zabytku od czasu kradzieży, dochodzenie prokuratorskie, badania historyków, którzy dociekali autentyczności przedmiotu i drogi, jaką przez te lata przeszedł, trwały 12 lat.

BARBÓRKA, GÓRNICZY SKARB Z SZANSĄ NA UNESCO

Barbórka i tradycje górnicze czekają na wpis na listę UNESCO. Ekspertka i koordynatorka wpisu, dr Beata Piecha-van Schagen, podkreśla: To zobowiązanie do zachowania dziedzictwa

Patryk Osadnik

Barbórka i tradycje górnicze mają trafić na listę reprezentatywną niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO. Wniosek w tej sprawie czeka na rozpatrzenie. - W 2049 r. ma zostać zamknięta ostatnia kopalnia na Górnym Śląsku. Ten wpis to dla nas zobowiązanie do zachowania dziedzictwa, które przemija - wskazała historyczka i koordynatorka wpisu dr Beata Piecha-van Schagen.

Koordynatorka wpisu w rozmowie z „Dziennikiem Zachodnim” wskazała, że ma on objąć zarówno Barbórkę, jako najważniejsze górnicze święto, jak i tradycje, m.in. karczmy piwne, legendy, orkiestry, pieśni, pozdrowienia (Szczęść Boże! Glück auf!), tańce (to tradycja austriacka) oraz mundur górniczy.

Nie tylko na Śląsku

- Barbórka niesie ze sobą wartości uniwersalne. Tego dnia górnicy świętują, że w zdrowiu i szczęściu przeżyli kolejny rok. Są razem. To coś, z czego powinniśmy czerpać. To esencja dla nas, mieszkańców regionów górniczych, żeby być razem i czerpać z tego radość - powiedziała dr Beata Piecha-van Schagen.

Wniosek o wpis dotyczy tradycji górnictwa węgla kamiennego na Górnym i Dolnym Śląsku, górnictwa kruszców w Tarnowskich Górach, górnictwa soli w Bochni i Wieliczce oraz górnictwa w Austrii i Luksemburgu.

Historyczka wyjaśniła, że kluczowym elementem wniosku jest program ochrony i podtrzymania żywotności dziedzictwa.

- Lista jest tworzona na podstawie Konwencji UNESCO w sprawie ochrony niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Ochrony! To nie tylko wpis, którym można się pochwalić. To nie tylko magnes na turystów. To ma nas - osoby zajmujące się dziedzictwem, depozytariuszy dziedzictwa, instytucje kultury, samorządowców itd. - wzmocnić w działaniach na rzecz ochrony dziedzictwa, które jest bardzo kruche - podkreśliła dr Beata Piecha-van Schagen.



Barbórka 2025 na katowickim Nikiszowcu. To tradycja, że 4 grudnia o poranku orkiestry górnicze budzą o świcie mieszkańców górniczych osiedli. Na Nikiszu orkiestra KWK Wieczorek gra od 114 lat, nawet teraz, gdy nie ma już kopalni

W jej ocenie należy pilnie wesprzeć górników i ich otoczenie w działaniach na rzecz zachowania tradycji górniczych, ponieważ będzie to coraz trudniejsze wraz z zamykaniem kolejnych kopalń.

Decyzja w sprawie wpisu na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO może zapaść w 2026 r.

Orkiestry budzą mieszkańców górniczych osiedli

Obchody Barbórki rozpoczynają się o poranku. Orkiestry zakładowe budzą mieszkańców górniczych osiedli. To tradycja, która przyciąga tłumy turystów na Nikiszowiec - najpopularniejsze zabytkowe osiedle górnicze w Katowicach. Orkiestra gra tam od 114 lat.

- Tradycje kulturowe orkiestr górniczych, podobnie jak Barbórka na Górnym Śląsku, są wpisane na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Barbórkowe pobudki to tradycja z okresu PRL-u, która dobrze wpisuje się w lokalną kulturę i tożsamość - powiedziała dr Beata Piecha-van Schagen.

Zaznaczyła, że dawne orkiestry zakładowe działają obecnie w większości jako niepubliczne stowarzyszenia. Jest ich 27. - Wszystkie wymagają szczególnej ochrony i wsparcia - podkreśliła.

Elementem Barbórki są msze święte w kościołach katolickich i nabożeństwa w kościołach ewangelickich.

- Co po mszach i nabożeństwach? Uroczystości w kopalniach - akademie, podczas których wręczane są nagrody górnikom, słynne zegarki wręczane jubilatom z okazji 25-lecia pracy w górnictwie. To z kolei tradycja sięgająca drugiej połowy XIX w. Niestety ta część obchodów po zamknięciu kopalń bezpowrotnie zniknie - zaalarmowała dr Beata Piecha-van Schagen.

Poza tym Barbórka jest obchodzona w domach. Górnicy spotykają się z rodzinami i przyjaciółmi. Świętują. Często świętują nawet ci, którzy nie mają już w rodzinie górników, ale utrzymują rodzinne tradycje.

Nierozdzielnie z Barbórką związane są karczmy piwne - biesiadne spotkania górników

- zawsze przy piwie, zazwyczaj przy golonce - w okresie barbórkowym. Mają one również charakter obrzędowy. Podczas karczmy m.in. symbolicznie przyjmowani do stanu górniczego są młodzi górnicy.

Św. Barbara zapewnia dobrą śmierć i życie wieczne

Św. Barbara to patronka trudnej pracy i dobrej śmierci, dlatego na sztandary wzięli ją m.in. górnicy. Obchodzona 4 grudnia Barbórka - w dniu wspomnienia św. Barbary w Kościele katolickim - to najważniejsze górnicze święto.

Według legendy hagiograficznej św. Barbara, która nie chciała wyrzec się wiary chrześcijańskiej, została uwięziona przez swojego ojca w wieży. Kazała wybić tam trzecie okno dla uczczenia Trójcy Świętej. Była torturowana, a zginęła przez ścięcie głowy.

- Zstąpił do niej anioł, który udzielił jej wiatyku, czyli komunii świętej na wypadek zagrożenia życia. Dlatego górnicy zwracają się do św. Barbary, aby ona w takiej sytuacji miała ich w swojej opiece, udzieliła

im wiatyku i zapewniła dobrą śmierć oraz życie wieczne - wyjaśniła dr Beata Piecha-van Schagen.

Św. Barbara w Kościele katolickim zaczęła być szczególnie eksponowana w okresie reformacji (XVI w.). Na Górnym Śląsku w XVIII w. popularność zyskały Bractwa Dobrej Śmierci. Pierwsze w Tarnowskich Górach, do którego zapisywali się również gwardie, oraz w Rudach Raciborskich przy opactwie cysterskim.

- Siegając po modlitewniki górnicze, które były wydawane w dużych nakładach, to wyraźnie widać, że jest w nich dużo modlitw i pieśni zaczerpniętych z modlitewników Bractw Dobrej Śmierci. Kult św. Barbary jako patronki dobrej śmierci, szafarki wiatyku, jest z tym nierozdzielnie związany - wskazała dr Beata Piecha-van Schagen.

Górnicy zaczęli strajkować i pytać: „A kaj Barbórka?!”

Do początku XX w. górnicy obowiązkowo modlili się

przed pracą. Spotykali się przed ołtarzami, najczęściej w cehowniach.

Znajdowały się tam figury lub obrazy św. Barbary, nierzadko wykonywane przez znanych artystów, takich jak Ferdinand Winter i Max Wislicenus.

- Właściciel musiał mieć w tym swój interes, żeby wydać sporą sumę pieniędzy na figurę lub obraz, które górnicy oglądali przez 15-20 minut dziennie. Po modlitwie bywały one zamykane. Jaki to był interes? Taka wspólna modlitwa miała ogromne znaczenie w tworzeniu wspólnoty. Wspólnota górnicza zawiązała się wokół św. Barbary - podkreśliła dr Beata Piecha-van Schagen.

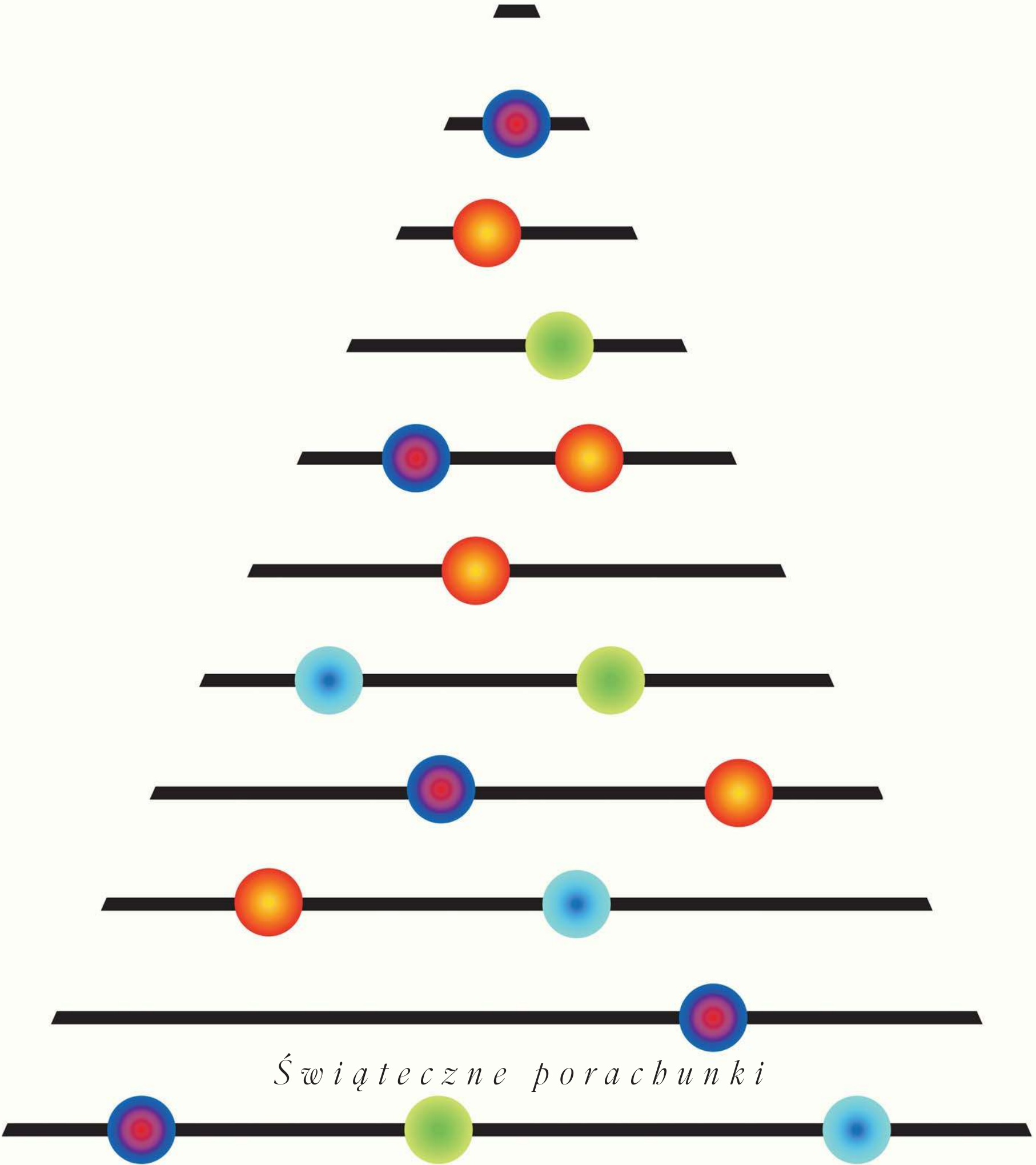
Zobowiązkowej modlitwy zrezygnowano wraz ze skróceniem czasu pracy - z 12 do 10 i 10 do 8 godzin. Zawierania światopoglądowe i zmiany geopolityczne raz po raz zmieniały podejście do św. Barbary w górnictwie w XX w. Na początku okresu PRL-u z kopalń zaczęto usuwać obiekty sakralne.

- Po 1948 r. w zakładach dokonano czystek. Liczono na to, że te tradycje religijne znikną. Przyszli górnicy i zaczęli szukać tych figur i obrazów. Nie mogli znaleźć, to szli do księdza, kupowali nowe, ustawiali je na własną rękę. Odtwarzali te ołtarze. Komunści je usuwali, aż przyszły lata 80. Górnicy zaczęli strajkować i pytać: „A kaj Barbórka?!”. To niesamowity fenomen - oceniła dr Beata Piecha-van Schagen.

Wskazała, że z czasem górnicy na co dzień przestali modlić się pod wizerunkiem swojej patronki.

- Biorąc pod uwagę zmiany cywilizacyjne, zmiany związane z eksponowaniem swojej religijności, uważam że spojrzenie, skinienie głową podczas przechodzenia obok figury lub obrazu św. Barbary, to gest równoważny z dawną modlitwą. Okazanie pokory i prośba o opiekę - mówi dr Beata Piecha-van Schagen.

Poza tym obecnie św. Barbarę można dostrzec na popularnych wśród górników tatużach oraz ubraniach.



PULS
#193

Arlena Sokalska

JAKI PIĘKNY BYŁ TEN SPACER
PO MOSKWIE...

Każdy, kto tak jak ja (i wszyscy z mojego pokolenia) musiał uczyć się języka rosyjskiego, pamięta pewnie piosenkę „A ja idu, szagaju pa Maskwie”. Czyli, „Idę, spaceruję po Moskwie”. Trochę jak specjaliści wysłannicy Donalda Trumpa - jego zięć Jared Kushner i Steve Witkoff. Bo właśnie spacer po Moskwie zdaje się głównym elementem ich „rozmów pokojowych” ze stroną rosyjską. Rodzina Kushnera wywodzi się z Nowogródka (dziś Białoruś). Tak, tego samego, w którym urodził się Adam Mickiewicz. Co nie zmienia faktu, że w rodzinie Trumpów jedyną osobą, która choć trochę rozumie, czym jest Rosja, wciąż pozostaje urodzona w Słowenii Melania. Kushner to biznesmen, podobnie, jak Witkoff, a ich celem jest zdaje się po prostu ukucie jakiegoś dobrego interesu z Rosjanami. Bo o żadnych rozmowach pokojowych nie ma tu mowy.

Gdyby do stołu siedli dyplomaci: ministrowie spraw zagranicznych trzech stron: USA, czyli Marco Rubio, Ukrainy Andrij Sibiha i Rosji Siergiej Ławrow, nie mieliby o czym rozmawiać. Bo żadnych konkretów nie ma na stole - a dyplomaci nie rozmawiają o biznesie, tylko o konkretach. A o tym, jak bardzo strony rosyjskiej konkrety nie interesują, świadczy choćby wypowiedź doradcy Putina Jurija Uszakowa, który panów biznesmenów z USA nazwał „tymi dwoma, którzy dziś przybyli na Kreml”. Zaś sam Putin kazał im na siebie czekać aż półtorej godziny. Jak ocenił to znany ukraiński publicysta Witalij Portnikow, po prostu car przybywa na spotkanie nie wtedy, kiedy ono ma się odbyć, ale wtedy, gdy on ma na to ochotę.

A spotkanie zakończyło się niczym, bo niczym zakończyć się musiało. Putin, który uwielbia, żeby wszystko było „zgodnie z prawem” (właśnie po to zmienił np. konstytucję Federacji Rosyjskiej, w której zapisano, że Krym oraz obwody ługański, doniecki, chersoński i zaporoski są częścią Rosji), doskonale wie, że zarówno Kushner, jak i Witkoff nie mają żadnego umocowania prawnego w amerykańskiej administracji do prowadzenia poważnych rozmów.

Zatem Kirył Dmitriew na koniec oprowadził tę jakże ważną amerykańską delegację po Moskwie. Jej członkowie byli zachwyceni. Nic dziwnego, Moskwa robi wrażenie. I wybija się nie tylko na tle reszty kraju (ok. 1/4 mieszkańców Federacji Rosyjskiej, czyli ponad 25 milionów osób nie ma wewnętrznej toalety w domu czy mieszkaniu), ale i na tle innych światowych stolic. Przy okazji Witkoff już miał usłyszeć propozycję zrobienia biznesu amerykańsko-rosyjskiego wartego 200 miliardów dolarów. I jest gotowy, podobnie jak Donald Trump, przehandlować Ukrainę.

Nie pozostaje nic innego, jak tylko posłuchać piosenki Zbigniewa Wodeckiego „Spacer po Moskwie”. To oczywiście przeróbka tamtego słynnego hitu z czasów ZSRR. Posłuchać i zachwycić się, jak panowie Kushner i Witkoff. Nic innego nam nie pozostało...

*„A ja po Moskwie idę sobie dziś
i mógłbym chyba przejść w ten zmierny
ocean i sto mórz, sto rzek
i tundrę, tajgę też.
Rozwinę żagle wiatrom wszystkich mórz,
choć nie wiem jeszcze z kim.
A gdy za domem będę tęsknił już,
spod śniegu kwiat przytulę do swych ust
i wspomnę miasto z nim,
i wspomnę miasto z nim”.*

Adam Bula

O CZYM BY TU JESZCZE POWAŻNIE
NIE POROZMAWIAĆ?

Całkiem bez echa przeszła informacja, że pani prezydentowa Marta Nawrocka przeszła właśnie na emeryturę. Nabyła uprawnienia po 18 latach służby w Krajowej Administracji Skarbowej, objętej - jak cała mundurówka i wiele innych branż - emerytalnymi specprzywilejami. To mógłby być dobry pretekst do poważnej rozmowy, gdzie my z tym całym systemem jesteśmy i jak szybko zwali się on nam na głowę. No tylko kto z kim miałby rozmawiać poważnie?

Pani Marta skorzystała z obowiązujących przepisów i nie jest to tekst o niej. Choć działami na wyobraźnię fakt, że 39-letnia kobieta ma przed sobą 43 lata pobierania emerytury (zakładając, czego prezydentowej życzę, jako minimum średni czas życia kobiet w Polsce, rosnący stale i dziś wynoszący już ponad 82 lata).

Nie jest to też tekst o tym, że nie bardzo rozumiem, czym praca kontrolera skarbowego różni się w kontekście emerytalnym od pracy kontrolera w tramwaju. To ograny już wątek o policjancie z biura logistyki, który w życiu nie wyszedł na uliczny patrol. Sam pamiętam męczący dyskusję, gdy poznałem post-górnika ledwie po 40, który szukał sobie hobby na resztę życia (ostatecznie wszedł w kolarstwo długodystansowe).

Problem z rozbuchanymi przywilejami emerytalnymi jest u nas „od zawsze”, częściowo zresztą to jeszcze spadek po PRL. Nieruszany, bo jedyne, co łączy naszą klasę polityczną to aksjomat, że poważnych problemów się nie rusza. Cena, jaką zapłacił poprzedni rząd Tuska za podniesienie wieku emerytalnego w 2012 r., została przez polityków zapamiętana na zawsze. Jak i profity, jakie uzyskał PiS, odkręcając wszystko w 2016 r.

Pozostanie więc nam na kolejne lata ponad milionowa armia emerytów po 40 i reszta, która będzie musiała dociągnąć do swoich 60 i 65 lat, czekając na świadczenia, które NA PEWNO będą coraz bardziej głodowe. O czym wszyscy doskonale wiedzą.

No tylko jak wyobrazić sobie choćby próbę poważnej dyskusji o tym, nie mówiąc już o próbie wprowadzenia istotnych zmian, ratujących system przed nieuniknionym kolapsem. No nie da się.

Więc może służba zdrowia, która zalicza kolejny kryzys, kiedy w NFZ pod koniec roku pojawia się nieplanowana dziura. Rząd, tradycyjnie dla wszystkich kolejnych rządów, dzielnie usiłuje bagatelizować problem, po cichu dosypując awaryjnie kasę do niewydolnego systemu. Na co wrzeszczy opozycja. Dziś to PiS, który - swoim zwyczajem - sięga od razu po najcięższy młotek wyjąc, że Polacy masowo umierają przez Tuska na SOR-ach.

Konfederację za to obchodzi tylko, że leczymy za darmo Ukraińców. Stanisław Tyszka wrzuca z lubością wpisy, że w 2024 r. wydaliśmy na ich leczenie aż 2,2 mld zł. Co z tego, że w tym samym roku obywatele Ukrainy zapłacili prawie 4 mld zł składki zdrowotnej.

Można więc poprawnie napisać też: dzięki Ukraincom Polacy mieli w 2024 r. aż 1,8 mld zł więcej na leczenie. No można, ale czy to pomoże w rozmowie z Konfederacją?

A tu na scenę wchodzi jeszcze prezydent Nawrocki, zapraszając do siebie wszystkich zainteresowanych ratowaniem służby zdrowia. Ten sam prezydent, który przez ostatnie tygodnie obraził się i żąda przeprosin od kogo się da, wetując i nie podpisując, co tylko się da. Prezydent, który rzuca rządowi i Sejmowi swoje pomysły na stół z przesłaniem: bierzcie i uchwalajcie bez zbędnego gadania, oto słowo pańskie.

Więc rząd, na szybko, robi sobie spotkanie na temat służby zdrowia dzień wcześniej, by „nie oddawać narracji”. Czy z tego pojawi się jakikolwiek plan, jak uzdrowić służbę zdrowia? Oczywiście, że nie. Poważne zmiany to wystawienie się na taki sam łatwy strzał, jaki zaliczył Tusk z wiekiem emerytalnym.

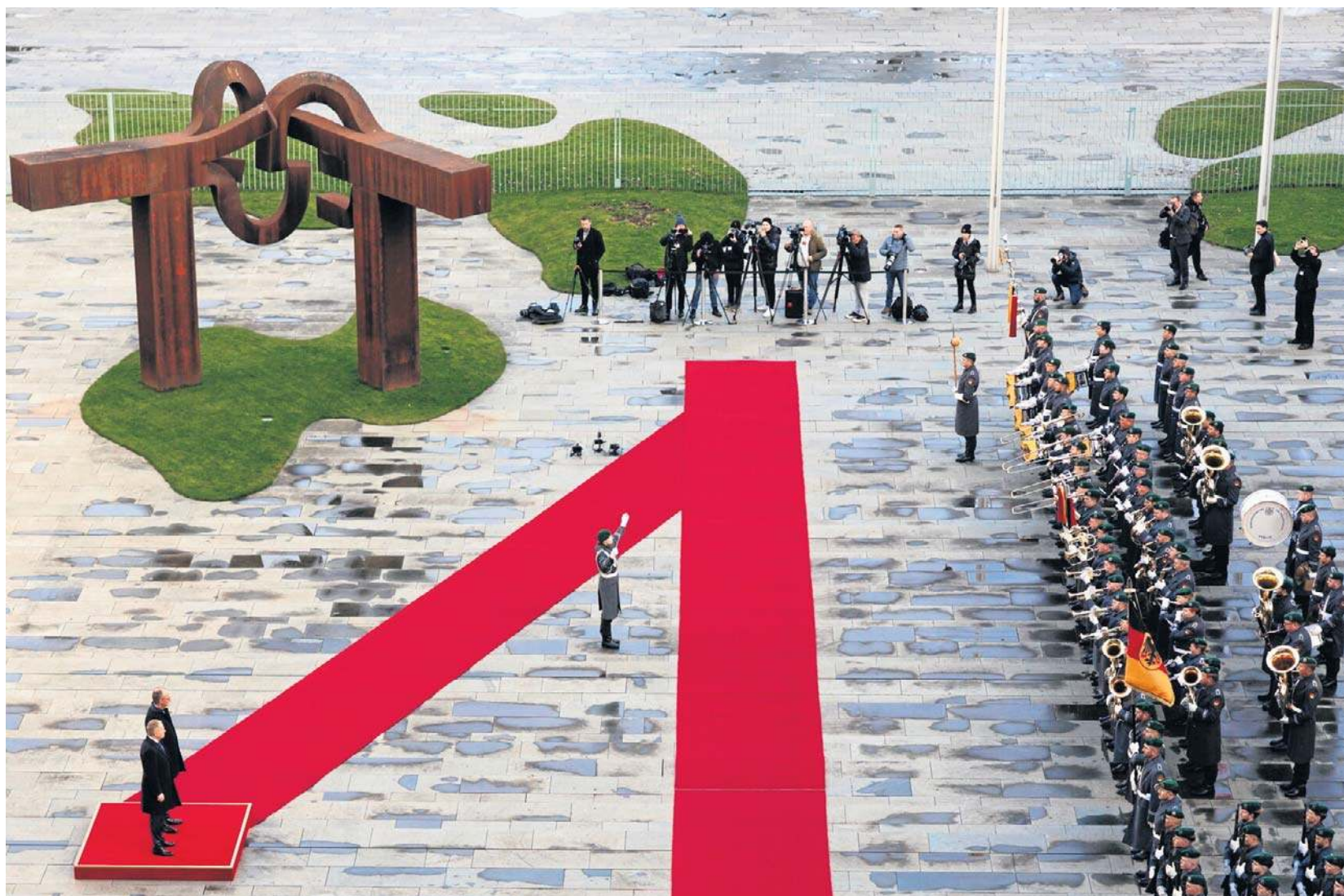
To może chociaż bezpieczeństwo, armia i polityka zagraniczna? Zapomnij, z jednej strony Błaszczak z PiS, zajęty udowadnianiem, że tylko on umiał wydawać na armię pieniądze, z drugiej nowa ekipa prezydencka z panem Cenkiewiczem na czele, która - łagodnie rzecz ujmując - coraz bardziej pachnie macierewiczowskimi szajbami.

Warto to sobie uświadomić w Adwencie. Osiągnęliśmy - MY - niewiarygodny sukces cywilizacyjny przez dane nam 35 lat wolności. I nie pojedziemy już dalej. Nawet całkiem niezłe urządzone państwo, jak nasze, wymaga od czasu do czasu - jak wszystko - generalnego remontu jakiejś ważnej części.

Tylko że nasz serwis jest na stałe zamknięty, bo trwa tam jakaś absurdalna bójka.

Będziemy zapraszać przyjaciół, sąsiadów i partnerów na amerykański szczyt G20. W szczególności Polskę, kraj, który dawniej tkwił w pułapce za Żelazną Kurtyną, a obecnie jest w gronie 20 największych gospodarek świata, dołączyć do nas, aby zająć należne jej miejsce w G20

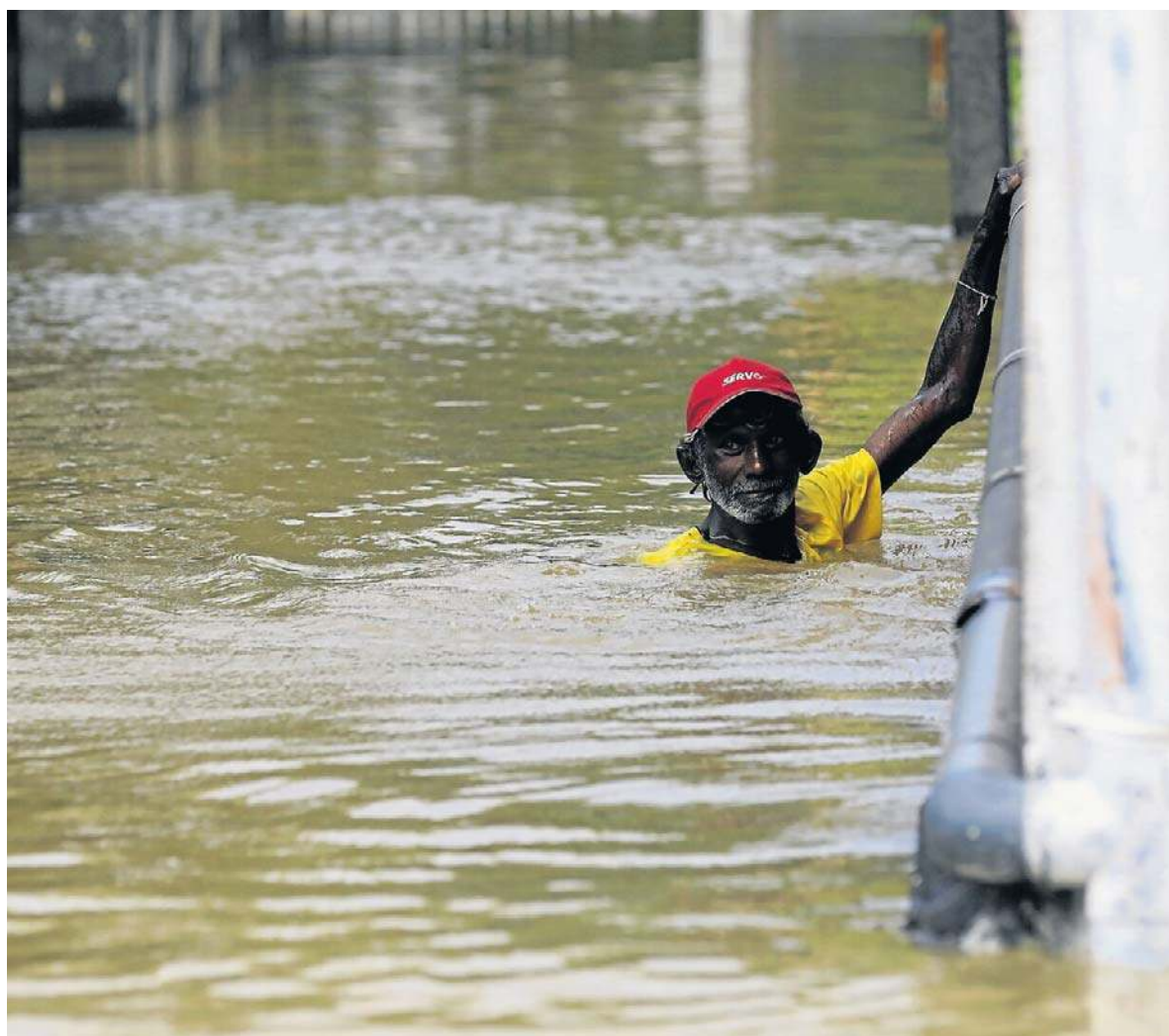
FOTOkomentarz tygodnia



1 GRUDNIA, NIEMCY

Widoczna na zdjęciu rzeźba Eduarda Chillidy, stojąca przed niemieckim urzędem kanclerskim, symbolizuje pojednanie. Jednak konsultacje międzyrządowe Polski i Niemiec trudno uznać za jego przykład. Szefowie rządów obu krajów Donald Tusk i Friedrich Merz (stoją po lewej, dokonując przeglądu warty) niby w wielu kwestiach się zgadzają, od pomocy dla Ukrainy począwszy, ale też w wielu dzieli ich bardzo dużo. A apel polskiego premiera o to, by Niemcy wreszcie udzielili pomocy ofiarom II wojny światowej pozostał bez odpowiedzi

FOT. PAP/EPA/CLEMENS BILAN



FOT. AUTOR

1 GRUDNIA, SRI LANKA. Tragiczny w skutkach cyklon Ditwah zdewastował Sri Lankę. W wyniku powodzi śmierć poniosło niemal 500 osób, kolejnych 400 uważa się za zaginione. Rząd mówi o najgorszym tsunami od 2004 r. - ale lokalni mieszkańcy są wściekli na władze za brak skutecznej akcji ewakuacyjnej



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

3 GRUDNIA, WĘGRY. Prezydenci krajów Grupy Wyszehradzkiej na jarmarku bożonarodzeniowym w Ostrzyhomiu. Czy toasty pomogą ożywić ten format? Miły początek nie musi oznaczać ciągu dalszego



FOT. PAP/EPA/ALI HAIDER

3 GRUDNIA, ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE. Budowano je 16 lat, otwarcie cztery razy przesuwano. Ale powstało: imponujące muzeum pamięci Zajida ibn Sultana Al Nahajjana, pierwszego prezydenta kraju

CZEKAMY NA BOŻE NARODZENIE I MOCNO TRZYMAMY SIĘ ZA PORTFELE

Niespodzianek nie ma: w tym roku też będzie Boże Narodzenie i też będzie drogo. Większość z nas nie zamierza jednak wydać na święta więcej niż zazwyczaj. Jak przyoszczędzimy? Kupimy mniej prezentów, wykorzystamy stare ozdoby albo sami je zrobimy. Co wcale nie znaczy, że te święta będą gorsze niż poprzednie – w końcu najważniejsza nie jest liczba prezentów, a atmosfera panująca przy świątecznym stole

Dorota Kowalska

Małgorzata, 58 lat, księgowa. Od lat organizuje wigilie u siebie w domu. Przychodzą: jej tata (mama zmarła wiele lat temu), córka z mężem i dziećmi, w tym roku będą też rodzice zięcia. W sumie ma u siebie 9 osób.

- Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. Cały czas gdzieś biegamy, wszyscy mają swoje sprawy. Boże Narodzenie to tak naprawdę jeden z niewielu momentów, kiedy możemy zwolnić, porozmawiać, nacieszyć się sobą – opowiada. Potrawy wigilijne przygotowuje już kilka dni wcześniej, a przynajmniej to, co może powstać w lodówce czy zamrażalce. Są więc pierogi z kapustą i grzybami, śledzie, karp, w Wigilię gotuje zupę grzybową, robi kapustę z grzybami i grochem. Każdy też przynosi coś ze sobą, kładzie na stole.

- Myślę, że w tym roku wydam na święta około 2 tysięcy złotych! – mówi. - Dużo – wrzusa ramionami.

Bo przecież trzeba jeszcze kupić choinkę, jakieś wędliny, kawałek ciasta, zawsze robi też na święta sałatkę jarzynową i taką z pomidorów, mozzarelli, rukoli i oliwek. No i są prezenty: dla wnuków, męża, dzieci.

- Staram się nie szaleć. Nienawidzę wyrzucać jedzenia, więc to nie jest tak, że w święta wypada mi ono z lodówki. Robię takie zakupy, jakie muszę zrobić, ale pewnych rzeczy nie przeskokę – tłumaczy.

Nie jest z tych, którzy biorą pożyczki albo kredyty na święta, ale tak – to finansowo ciężki dla niej czas.

- W tym roku na pewno jest drożej niż w zeszłym – Małgorzata nie ma co do tego wątpliwości. Widzi to po paragonach z supermarketów, o małych sklepach nie mówi.

Trzymamy się za portfele

To prawda, będzie drożej. Podwyżki cen na 2025 roku zaplanowało aż 48 proc. firm, tylko jedna trzecia z nich już ich dokonała. Pozostałe, a więc praktycznie 30 proc. ogółu, czekają na ostatnie miesiące, a nawet tygodnie 2025 roku. Powód planowanego albo już dokonanego wzrostu cen? Rosną koszty energii, paliw i kosztów pracy: podwyżki płac i związane z tym obciążenia chociażby na rzecz ZUS.

Podwyżki swoich cen i usług planują przede wszystkim małe firmy, więc możemy się zdziwić, idąc tuż przed świętami do fryzjera, krawca, ulubionego butiku czy cukierni za rogiem.

Firmy z podwyżkami czekają, bo liczą na efekt psychologiczny: przed świętami wydajemy więcej niż zazwyczaj, jesteśmy przyzwyczajeni do określonych produktów i kupimy je, nawet jeśli będą o kilka złotych droższe.

Dodatkowo kryzys, inflacja i rosnące koszty sprawiły, że Boże Narodzenie z trzech ostatnich lat było skromne, a jest trochę tak, że jeśli sytuacja się poprawia, chcemy odreagować chude lata i stajemy się bardziej rozrzutni.

Chociaż wygląda na to, że nie zamierzamy szaleć pieniędzmi. Na tegoroczne zakupy świąteczne 56 proc. Polaków planuje przeznaczyć podobną kwotę jak rok wcześniej – wynika z badania Santander Consumer Banku „Polaków Portfel Własny: E-commerce od święta”. Co piąty uczestnik sondażu (19 proc.) planuje zwiększyć wydatki, a 14 proc. ograniczyć budżet. Wyższe koszty planują przede wszystkim osoby w wieku 30-39 lat (27 proc.).

W grupie osób planujących większe wydatki 77 proc. wskazało, że to efekt rosnących cen, część stwierdziło, że ma dłuższą



Świątecznych symboli nie brakuje. Sklepy pełne są ozdób, wszędzie grają świąteczne piosenki, na platformach pełno jest filmów związanych z Bożym Narodzeniem

listę prezentów (32 proc.), inni chcą pozwolić sobie na droższe i lepsze upominki (22 proc.), a niektórzy organizują święta u siebie lub podejmują większą grupę gości i dlatego muszą liczyć się z wyższymi kosztami (15 proc.).

Jednak jest grupa respondentów, która planuje zmniejszyć w tym roku świąteczne wydatki. Głównym powodem jest ograniczona sytuacja materialna – stwierdziło tak 31 proc. badanych. Częściej na ten powód wskazywały kobiety (34 proc.) niż mężczyźni (26 proc.). Problem ten dotyczy głównie osób o najniższych dochodach – do 2999 zł.

Jak chcemy przyoszczędzić na świętach? 26 proc. badanych planuje kupić mniej prezentów, a 23 proc. zamierza wykorzystać ozdoby świąteczne z poprzednich lat lub przygotować je samodzielnie. Według badania to kobiety częściej niż mężczyźni starają się kontrolować domowe finanse – 45 proc. z nich ogranicza wydatki na co dzień, a w przypadku mężczyzn to 10 proc.

Ile wydamy na święta? Jedna czwarta Polaków na zakupy w sklepach internetowych przeznaczy na święta do 500 zł. Tę kwotę wskazywali najczęściej najmłodsi dorośli 18-29 lat (34 proc.), 28 proc. nie przekroczy

1000 zł, a prawie jedna na pięć osób deklaruje wydatki między 1001 zł a 2000 zł (19 proc.). Więcej niż 2000 zł zamierza przeznaczyć jeden na dziesięciu badanych.

Z kolei 13 proc. Polaków nie zamierza robić świątecznych zakupów w sieci. Częściej są to mężczyźni (15 proc.) niż kobiety (11 proc.), a podobne nastawienie mają zarówno seniorzy (16 proc.), jak i osiemnastolatki (15 proc.).

Szał jarmarków

Magda, 27-latką, pracuje. Mieszka sama, ale święta spędza w rodzinnym domu.

- Na szczęście, inaczej nie dałabym rady finansowo – przyznaje. Bo wiadomo: odpada jej przygotowanie Wigilii i całych świąt. Jak to się mówi, jedzie na gotowe.

- Ale i tak na święta wydam ponad 500 złotych. Jest drożej niż w zeszłym roku, więc wydam więcej – tłumaczy. I tak: od lat robią sobie kilka dni przed 24 grudnia Wigilię z przyjaciółmi. Stara paczka, znają się właściwie od szkoły podstawowej. Każdy na kolację coś przynosi, ona – krokiety. W tym roku nie będzie miała czasu ich zrobić, więc kupi u pani Eweliny w osiedlowym sklepiku. Ta zawsze przed Wigilią ma u siebie robione ręcznie pierogi, uszka, krokiety – 11 złotych za sztukę, ale zprezenty: dla mamy, taty, babciom na szczęście podarki przygotowują rodzice. No i prezent dla osoby z paczki, bo zawsze robią losowanie i kupują sobie coś pod choinkę. W tym roku wylosowała Maćka. Dobrze, z prezentem nie będzie problemu, bo Maciek to mól książkowy. Mają się zmieścić w kwocie 100 złotych, więc pewnie będzie jeszcze coś oprócz książki.

- Co do prezentów stawiam na oryginalność, zawsze odwiedzam jarmark bożonarodzeniowy, można tam znaleźć coś ciekawego – mówi. - Tanio nie jest! – dodaje ze śmiechem.

To prawda, ale Polaków ogarnął szal jarmarkowy. Jeżdżą na jarmarki bożonarodzeniowe do Pragi, Wiednia, Berlina, Gdańska czy Warszawy.

Popularny youtuber Książuło postanowił sprawdzić, co można zjeść i za ile na jarmarku bożonarodzeniowym w stolicy. Irzeczywiście, tanio nie jest.

Pierwszym posiłkiem Książuła, czyli Szymona Nyczke, była kanapka ze smalcem za 11 zł. - Smakuje jak pasztet, naprawdę.



FOT. ALEKSY WITWICKI

Jarmarki bożonarodzeniowe są w każdym większym mieście. Ale narzekamy na ceny – wszystko drogo kosztuje

Gdzieś się zagubił taki smalcowy klimat – ocenił youtuber.

Kawałek boczku można dostać na jarmarku pod Pałacem Kultury za 10 zł, przy czym był on, zdaniem Książula, ledwo ciepły i zbyt tłusty. Pita z kurczakiem kosztowała 35 zł. Za kanapkę z mięsem grillowanym zapłacił 54 zł, a za miszkę barszczu świątecznego 25 zł.

- Ale słone. Sama sól. To w ogóle nie smakuje burakiem – stwierdził.

Za grzaniec na jarmarku w Warszawie trzeba zapłacić 20 zł. Cynamonki kosztują 17,90 zł, oscypki z żurawiną 9 zł, a herbata z miodem z własnej pasieki 15 zł. Bratwurst czy currywurst – 40 zł, miniburgery – 39 zł.

Diabelskim młynem przejdziemy się za 45 zł, a karuzelą za 20 zł.

Ceny na jarmarku bożonarodzeniowym w Krakowie też nie zaskakują – drogo, nawet bardzo. 8 sztuk pierogów kosztuje 45 zł, 10 sztuk – 50 zł, 12 sztuk – 55 zł, 400 ml grzańca – 40 zł, za pajdę ze smalcem lub osełką czosnkową trzeba zapłacić 18-19 zł, a „w wypasionej wersji” 56 zł. Uroczę kubki, które mogą być prezentem pod choinkę, można kupić od 25 do 30 zł, są też rękodzieła, kosze z wikliny, haftowane obrusy, ozdoby.

Jesteśmy tradycjonalistami

Święta Bożego Narodzenia są dla nas ważne. Jak wynika z badania CBOS, dla większości Polaków (62 proc.) to w pierwszej kolejności święto rodzinne. Tylko dla niespełna co piątego Polaka (19 proc.) to głównie przeżycie religijne, dla co dziesiątego (10 proc.) miła tradycja, dla co dwudziestego (5 proc.) wypoczynek i przerwa od pracy.

Z kolei z badania „Sztuka przeżywania świąt według Polaków”, zrealizowanego przez serwis Prezentmarzeń, wynika, że aż 73 proc. Polaków odczuwa silniejsze emocje podczas świąt. Dominują głównie pozytywne uczucia (81 proc.), takie jak radość (33 proc.) i wdzięczność (20 proc.), ale dla części święta to stres i zdenerwowanie (37 proc.).

Najważniejszymi czynnikami wpływającymi na emocje w okresie świątecznym są spotkania rodzinne (45 proc.) oraz przygotowania do świąt (37 proc.). 39 proc. ankietowanych wskazało, że to organizacja uroczystości w domu przysparza im najwięcej stresu, a 29 proc. odczuwa niepokój związany z kupowaniem prezentów.

Dla 6 proc. osób Boże Narodzenie jest doskonałą okazją do refleksji i poprawy relacji z innymi. Czas spędzony z rodziną jest jednym z najważniejszych aspektów Bożego Narodzenia. Aż 48 proc. respondentów wskazało, że właśnie te chwile przynoszą im największą radość. 57 proc. respondentów deklaruje, że święta przeżywa bardziej świadomie, jedynie dla 23 proc. osób są one mniej ważne. Na liście ulubionych wspomnień z dzieciństwa królują: kolacja wigilijna, rozpakowywanie prezentów, wspólne koledowanie. Trzymamy się tradycyjnych zwyczajów: 2 proc. Polaków pielęgnuje wspólne ubieranie choinki, a 20 proc. wciąż przygotowuje kolację wigilijną z 12 potraw.

- Obdarowywanie bliskich prezentami to nie tylko tradycja, ale także wyraz emocji i troski. Ponad 56 proc. respondentów podkreśla, że prezenty odzwierciedlają nasze relacje rodzinne i przyjacielskie. Dla 62 proc. Polaków są one ważne. Ich wartość nie opiera się jedynie na wymia-

rze materialnym, ale także na symbolice i emocjach, które towarzyszą przy ich wręczaniu. Co ciekawe, 67 proc. respondentów otrzymało kiedykolwiek prezent w formie przeżyć, co pokazuje również rosnącą popularność doświadczeń jako formy obdarowywania. Coraz więcej osób docenia prezenty w formie przeżyć. W erze materializmu stawiamy na wspólne chwile i wartości, które pozostają z nami na dłużej – mówi Michał Krasoń z serwisu Prezentmarzeń.

Przygotowania do Wigilii postrzegane są w różnorodny sposób – 27 proc. uczestników uznaje je za przyjemność, a dla 33 proc. to duże obciążenie. Respondenci często korzystają z zakupów online przy organizowaniu prezentów (44 proc.), preferują wygodę i elastyczność. 41 proc. Polaków przygotowuje większość potraw samodzielnie, a 36 proc. tylko niektóre z nich, podczas gdy 12 proc. korzysta z gotowych dań. Jesteśmy silnie przywiązani do tradycji kulinarnych i procesu przygotowań.

Nie wpaść w świąteczny szal

Ewa, razem z mężem, bo Marek świetnie gotuje, podobnie jak Małgorzata święta przygotowują wcześniej. Rozkładają też zakupy, nie robią ich w ostatnim tygodniu przed świętami, ale już w listopadzie sprawdzają, co im potrzeba, co można kupić wcześniej, i to kupują. Wtedy, jak tłumaczy, nie ma takiego szoku cenowego.

- Pierogi, uszka lepimy jakieś dwa tygodnie przed świętami – mówi Ewa. Wszystko potem mrozą, wyciągają w Wigilię, wrzucają na gotującą się wodę i gotowe.

- Czasami też wcześniej przygotowuję bigos, bo jemy go

na święta. Wcześniej piekę ciasta – dodaje. Nie ona jedna wychodzi z założenia, że nie ma sensu wszystkiego zostawiać na ostatnią chwilę.

- Chociaż mam w pracy koleżanki, które biorą przed świętami trzy dni wolnego i nie wychodzą z kuchni – wzrusza ramionami.

Starają się nie przesadzać ze świątecznymi zakupami, ale i tak, jak przyznają, wydadzą na święta jakieś 1500 złotych. Podrożało, jak wyliczają, niemal wszystko: chleb, ser, jaja, warzywa, owoce. W 2024 roku ceny kawy na światowych rynkach poszły w górę aż o 87 procent, cena kakao, w którego – jak wiemy – robi się czekoladę, przez rok wzrosła o 145 procent. Więć o czym tutaj mówić?

- Prezenty sobie kupujemy, ale wcześniej. Z tym też nie czekamy na ostatnią chwilę – wtrąca Marek. Robią listę: na zwisko, a obok pomysł na prezent.

Mają na kolacji wigilijnej dzieci, czyli 14-letnią Zosię, 18-letniego Adama i rodziców. Pytają dzieci, co chciałyby dostać pod choinkę, podobnie rodziców. Jeśli zobaczą coś niebanalnego w wrześnie coś paździeniku, kupują już wtedy. Dla rodziców starają się przygotować coś z pomysłem: zafundować im jakiś weekendowy wyjazd, dobry masaż czy wyjście do teatru.

- Wszyscy sporo czytamy, więc książki również sprawdzają się jako prezenty – mówi Marek.

I dodaje, że najważniejsze to nie wpaść w świąteczny szal. - Nas zresztą na to nie stać – wybucha śmiechem.

Jego kuzyn, Wojtek, 44-latek, ojciec dwójki dzieci, nie ukrywa, że w tym roku podarki pod cho-

inką będą skromne. W ramach prezentu idą z żoną w styczniu na koncert. Antek, syn, dostanie piłkę, córka zestaw farbek, bo uwielbia malować, do tego jakieś słodczy. Tyle.

Według badania IBRIS wydatki świąteczne przeciętnego gospodarstwa domowego wyniosły w 2024 roku 1575,95 zł, to stanowi wzrost o około 8 proc. w porównaniu do roku 2023. I najwyższy wynik w ostatnich pięciu latach, co w opinii autorów raportu może być efektem inflacji, ale także większej gotowości do świątecznych wydatków.

Co ciekawe, jak zauważono w raporcie, chociaż kwota przeznaczana na święta rośnie, zmienia się struktura wydatków. Prezenty były dla respondentów mniej ważne niż kiedyś – w 2024 roku Polacy przeznaczali na nie 51 proc. budżetu świątecznego, podczas gdy w 2023 roku było to 66 proc. To prawda, część osób czy rodzin rezygnuje z robienia sobie prezentów – bo drogo, bo kłopot. Inni stawiają na symboliczne drobniaki.

Przy świątecznym stole

Mimo że jesteśmy tradycjonalistami, celebруем święta Bożego Narodzenia, to jednak stopniowo zmieniamy do nich stosunek.

- Z roku na rok coraz więcej Polaków przyznaje, że świąt Bożego Narodzenia po prostu nie lubi. To nie jest tak, że kiedyś wszyscy je uwielbiali, tylko teraz coraz więcej osób ma od wagę powiedzieć to wprost. Przykładowo w badaniu Amazon i IBRIS 20 procent milenialsów i 33 proc. osób z pokolenia Z przyznało, że dzielenie się opłatkiem jest dla nich dyskomfortem i nie lubi tego rytu-

ału podczas Wigilii – mówi dr Bartosz Kicior, socjolog z Uniwersytetu SWPS.

I tłumaczy, że zwłaszcza dla kobiet presja świątecznych przygotowań i związana z tym harówka – sprzątanie, gotowanie – są przytłaczające. Coraz mniej pań chce spędzać przedświąteczny czas na szorowaniu podłóg i ścieraniu kurzu, a potem święta w kuchni. Dlatego z roku na rok rosną w tym okresie obroty firm cateringowych, coraz więcej też osób na Boże Narodzenie po prostu wyjeżdża.

Z badań RMF wynika, że w 2023 roku blisko 10 proc. Polaków wyjechało na święta z kraju. Z pozostałych 90 proc. badanych, którzy zostali w Polsce, też nie wszyscy spędzili Boże Narodzenie w domu rodzinnym.

- Chodzi o to, żeby po prostu przez te trzy, cztery dni odpocząć, nie robić zbyt dużo, a dla wielu pobyt w domu to właśnie praca. Ten, kto wykupuje taki wyjazd, inwestuje przede wszystkim w spokój. Płaci za to, że nie musi sprzątać mieszkania na błysk, bo przyjedzie rodzina i będzie oceniać, dekorować domu, przygotowywać albo zamawiać tych wszystkich potraw. Gdy spojrzymy na koszty związane z jedzeniem, a także wydatke czasowy i energetyczny, to czasem okazuje się, że te trzy dni spędzone w hotelu z posiłkami nie wychodzi wcale tak drogo – tłumaczy dr Bartosz Kicior.

Na świąteczne wyjazdy udajemy się najczęściej z rodziną, czasem z rodziną i przyjaciółmi. Coraz częściej spędzamy święta tylko w kręgu najbliższych. Rzadziej spotykamy się przy świątecznym stole z dalszą rodziną, chcemy uniknąć trudnych pytań i rozmów o polityce. Zwłaszcza kobietom przeszkadza poruszanie prywatnych tematów i dociekliwości wujków, cioci, dalekich kuzynów.

Dla tych, którzy świętują tradycyjnie, bardzo ważny jest aspekt ekonomiczny.

- Wydajemy coraz więcej pieniędzy nie tylko dlatego, że wszystko więcej kosztuje, ale też z chęci pokazania się, zrobienia wrażenia np. na członkach rodziny. Niektórzy kupują online drogie ozdoby czy zastawę stołową przed świętami po to, żeby zaraz po Bożym Narodzeniu wykorzystać możliwość odstąpienia od umowy, na którą mamy 14 dni, i zwrócić zakupy. To trend wynikający z niezdrowego podejścia do swojego wizerunku – podkreśla dr Bartosz Kicior.

Właśnie, bo chyba najważniejszy jest zdrowy rozsądek. Przecież święta to spotkanie z bliskimi, chwila oddechu od codziennej bieganiny. Najważniejsza nie jest świąteczna zastawa, ale atmosfera panująca przy świątecznym stole. PAP

WOJCIECH SIUDMAK I JEGO WALKA Z ANIOŁEM

Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to, jaki mam talent. Wiem, że mam coś do powiedzenia i chcę to zrobić jak najlepiej – mówi artysta Wojciech Siudmak

Anita Czapryn

Poczta Polska wydała właśnie emisję znaczków „Fantastyczne światy” z Pana rysunkami. Co Pan poczuł, kiedy pierwszy raz zobaczył swoje dzieła w takiej miniaturze?

Zawsze uwielbiałem znaczki. Był czas, że we Francji zbierałem znaczki poświęcone wielkim malarzom. Ale nie mam żylki kolekcjonerskiej, więc dość szybko z tego zrezygnowałem. Może opowiem anegdotę, która będzie odpowiedzią, dlaczego to jest dla mnie tak ważne. Na pierwszym znaczku, jaki dostałem wraz z pierwszym listem z Francji, była reprodukcja obrazu Delacroix „Jakub walczący z aniołem”. To były lata 60., 1964, a może 1966 rok. Pewnie Pani jeszcze na świecie nie było.

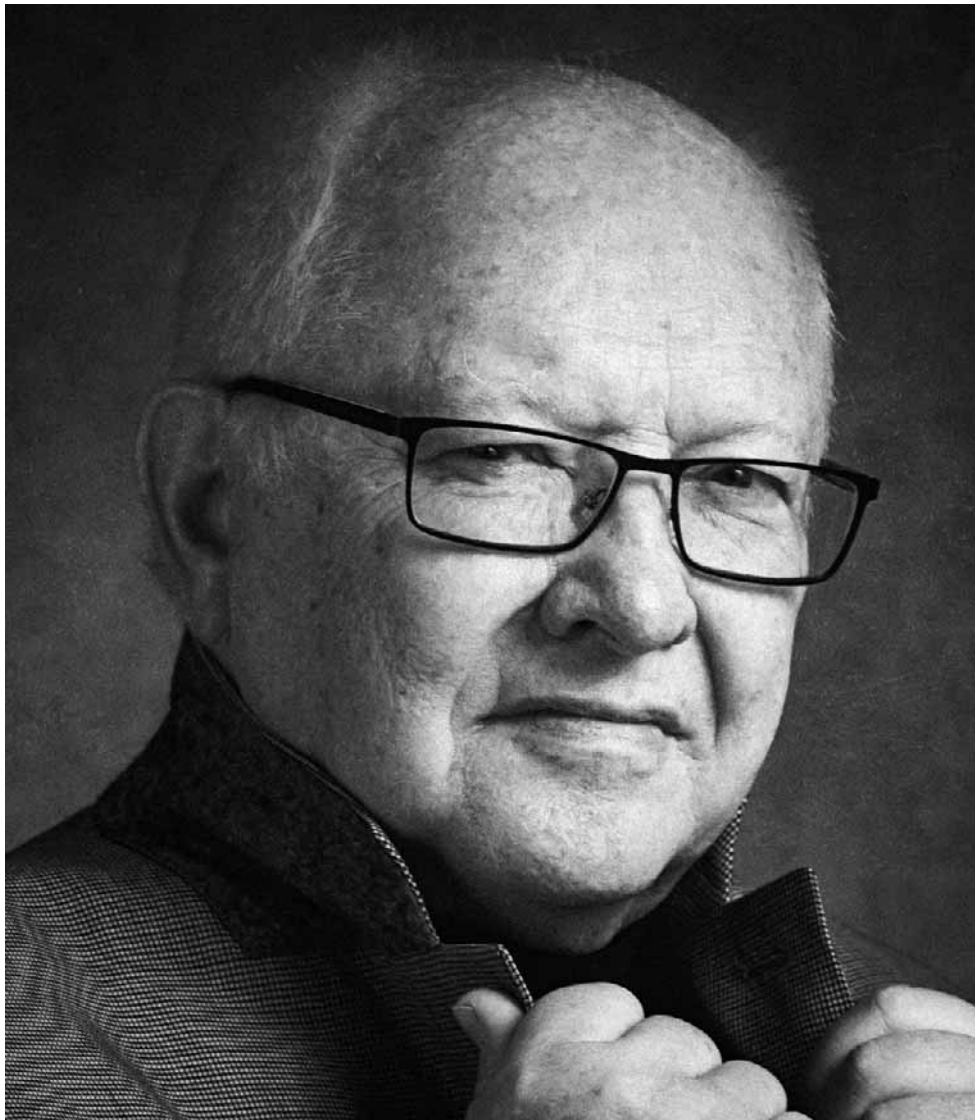
Nie było mnie. Też mam reprodukcję tego obrazu w postaci pocztówki. Identyfikowałam się z Jakubem, bo walcząc z aniołem to jest coś!

Od kogo był ten list z Francji? Od ciotki. Mieliśmy we Francji ciotkę, bardzo ciekawą osobę. Była świetną krawcową, pracowała dla wielkich krawców, zdarzyło się nawet, że współpracowała z Matissem. Listy od niej pachniały. Ten znaczek zatrzymałem i cały czas o nim pamiętałem, bo był z Francji i był piękny. To nie był dla mnie wesoły okres, moi rodzice wówczas już chorowali. Dwa lata później pojechałem do Francji. Znowu minął jakiś czas i pewnego razu, wychodząc z wydawnictwa, z którym wtedy współpracowałem, zastała mnie na ulicy straszna ulewa. Skryłem się w kościele Saint Sulpice. Obeszłem go dookoła; jest tam olbrzymia muszla, chyba największa jaką można spotkać w kościele, pełni w nim funkcję chrzcielnicy, i inne ciekawostki. I nagle, w pierwszej bocznej kaplicy, zobaczyłem obraz. Ledwo odczytałem kontur, bo był zupełnie czarny, zaniedbany, zakurzony. To był obraz Delacroix, mój obraz ze znaczka! Można powiedzieć, że go odkryłem. Wiele lat później został odnowiony. Nie jestem wielkim fanem Delacroix, ale odczytałem to jako symbol i bardzo mnie to poruszyło. Pokazało mi coś, co w zasadzie towarzy-

szy mi do dziś – że nie ma nic za darmo. Że trzeba cały czas walczyć. I to wcale nie znaczy, że tę walkę wygramy. Anioł, który walczył z Jakubem, pokazał, że ta walka jest bez końca. I tak rzeczywiście się stało: wciąż walczę. W starożytności historii anioł zostawił Jakubowi ślad, zadrażnienie. Ja też zostawiam jakieś ślady drobnych zwycięstw, ale nie mogę mówić o żadnym globalnym zwycięstwie. Czegoś takiego w naszym życiu nie ma, jest raczej droga która prowadzi do realizacji marzeń.

Liczy się to, że podejmujemy tę walkę.

Tak, znaczenie ma decyzja, że się walczy. Tę historię chciałem spiąć klamrą, bo później, przy okazji igrzysk olimpijskich w Paryżu, zamówiono u mnie rzeźbę i wystawę. Z różnych powodów wystawa nie doszła do skutku, ale rzeźba została. I ta rzeźba jest dla mnie symbolem, że nie wolno się poddawać. Podobnie jest z wielką rzeźbą „Wieczna Miłość”. Cały czas walczymy, każdy dzień jest nowym wyzwaniem. Na początku mojego pobytu w Paryżu spotkałem wspaniałego człowieka, z pochodzenia Węgry, Roberta Kenediego, mieszkającego w Anglii – poetę i słynnego krytyka. Został moim solidnym i wiernym przyjacielem. Powiedział mi: „Twoja droga będzie długa” patrząc na moje abstrakcyjne obrazy (śmiech). Odpowiedziałem: „To ile ja jeszcze muszę się nauczyć!”. Ale wcale mnie to nie przeraziło. Uznałem, że taka jest kolej rzeczy. Tym bardziej, że z Akademii wyszedłem jako malarz abstrakcyjny, co w praktyce oznaczało, że nie kładziono żadnego nacisku na rysunek, na model, na anatomię, na sztukę. Nie uczyliśmy się tradycyjnych zadań. To był wielki błąd, bo uczyć się rysować nie znaczy narysować ładnie. Uczyć się rysować to znaczy obserwować anatomię, światło i cień, charakter modelu. Tak jak powiedział Goethe: „Tego czego nie narysowałem nie widziałem”.



FOT. JUSTYNA RADZYŃSKA



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pozwoli Pan, że wrócę jeszcze do znaczków pocztowych. Z jednej strony mogą stać się czymś kolekcjonerskim skarbem, z drugiej pańskie znaczki mogą podróżować do różnych miejsc, do skrzynek, do szuflad i kolekcji. Słowem, zacząć żyć własnym życiem. Co Pan o tym myśli?

Myślę, że to bardzo piękny gest Poczty Polskiej. Jak we wszystkich krajach poczta, ze względu na rozwój technologii, szuka dla siebie nowego wyrazu, nowego miejsca. Stwierdziłmy więc, i prawdopodobnie tak właśnie jest, że tym nowym wyborem jest po prostu sztuka, kunszt. Ten mały znaczek jest w gruncie rzeczy dziełem sztuki. Tak właśnie postrzegałem znaczek z obrazem Delacroix, jako małe dzieło sztuki, które tyle mi opowiedziało i do dziś do mnie przemawia. W tym małym znaczku skondensowana jest jakaś historia. Myślę, że dla wielu ludzi będzie podobnie i na tym polega znaczenie poczty. A poza tym znajomi mówią mi: „Nie zapominaj, że na tym znaczku jest napisane Polska. Masz swój obraz z napisem Polska, jesteś Polakiem. Reprezentujesz ten kraj”. Nagle przeraziłem się, że teraz jestem odpowiedzialny. Ale z drugiej strony zawsze byłem świadomy, że trzeba być odpowiedzialnym. Tak jak powiedział Antoine de Saint-Exupéry: „Jesteś odpowiedzialny za tego, kogo wychowałeś”.

To najważniejsze przesłanie „Małego Księcia”. Potrafi Pan sobie wyobrazić kogoś, kto otrzymuje list ze znaczkiem, na którym jest Pana obraz? Kto to mógłby być?

Zaskoczę Panią. To może być przedstawiciel każdego pokolenia. We Francji wśród miłośników science fiction, którzy przychodzą na moje wystawy, są ludzie w moim wieku, z którymi zaczynaliśmy tę przygodę, ale przychodzą też z dziećmi, które dziś mają 50 lat, a dzieci przychodzą z małżonkami i z kolejnymi dziećmi. Pojawiają się wnukowie i za każdym razem dziękują mi, że braли udział w tej przygodzie, i traktują ją jak prezent. Myślę, że tak samo

będzie ze znaczkami. Mogą zainteresować małe dziecko, które bywa bardzo wrażliwe na piękno, zwłaszcza jeśli rodzice wychowują je w tym duchu, i zainteresują dorosłych, którym przywołują różne wspomnienia. Uważam, że znaczenie tego znaczka jest dużo większe niż jego format. To jest coś niezwykłego. I ten napis „Polska”, oznaczający, że jesteśmy dumni z tego, skąd pochodzimy i co robimy.

Można też rzec, że Polska jest dumna ze swojego syna.

A ja jestem dumny z polskości. Tak powinno być, robimy coś dla naszego kraju, dla naszej rodziny.

Kolejny miły pretekst naszego spotkania to wydany właśnie album „Fantastyczne światy II” i Pana obrazy w prozie Philipa K. Dicka, którego też uwielbiam za wizjonerstwo. Co Pana łączy z Philipem K. Dickiem?

Wie Pani, jak zaczęła się moja przygoda z Philipem K. Dickiem? Kiedy pojechałem do Paryża, szukałem pracy. Zaczynałem od małych rysunków, które publikowałem w takich pismach jak „Elle”, „Marie Claire” i innych. Później trafiłem do wydawnictw bardziej intelektualnych, jak „Planète”, a w końcu, bo bardzo mnie w tę stronę ciągnęło, do wydawnictw które zajmowały się science fiction. W jednym z nich zostałem na trzydzieści lat. Przez trzy dekady wydawnictwo Pocket używało moich obrazów na okładki książek. To była niezwykła przygoda, chyba niespotykana nigdzie na świecie. Ale kiedy szukałem pracy, przyjmowałem każde zlecenie. I usłyszałem: „Mamy tu książki Philipa K. Dicka, czy mógłbyś zrobić rysunki?”. Nie wykonywałem wtedy ilustracji, nie znoszę dosłownego odzwierciedlania tekstu i oni o tym wiedzieli. To było nowe pokolenie ludzi zafascynowanych science fiction, bardzo otwartych. Dali mi książkę Dicka, a ja nie umiałem jeszcze ani mówić, ani czytać po francusku. Kupiłem słownik, zacząłem czytać Dicka i kosztowało mnie to ogromny wysiłek. Tłumaczyłem zdanie po zdaniu i te zdania we mnie wsiąkały. Zauważyłem, że świat przedstawiony w tych książkach jest straszliwie skomplikowany, bolesny. Doszedłem do wniosku – i dałem temu wyraz w swoich rysunkach, że jest czymś tak nieuchwytnym, elastycznym, jak camembert, który też wtedy poznawałem: lejący się ser, bez ostatecznej formy, a jednak formę posiadający. Philip K. Dick zrobił na mnie ogromne wrażenie. Później wystarczyło, że przeczytałem kilka stron na początku, kilka w środku i ten świat już zna-

łem, bo to był mój świat. Zauważyłem, że świat Philipa K. Dicka jest niesamowicie nasycony – bólem albo przeczuciem tego, co nadejdzie. To jego wizjonerstwo mnie zafascynowało. Kiedy odkrywałem je strona po stronie, odciśkało się bardzo wyraźnie na mojej wyobraźni, a jednocześnie trafiało na podatny grunt, bo jak mówię, to był również mój świat. Ja też miałem tę wrażliwość, mnie też wiele rzeczy szokowało, ja też stawiałem sobie pytania. No i teraz album, o którym Pani wspomniała, wydany przez Wydawnictwo Rebis, jest chyba moim najpiękniejszym albumem. Zawiera najlepsze, najbardziej śmiałe rysunki.

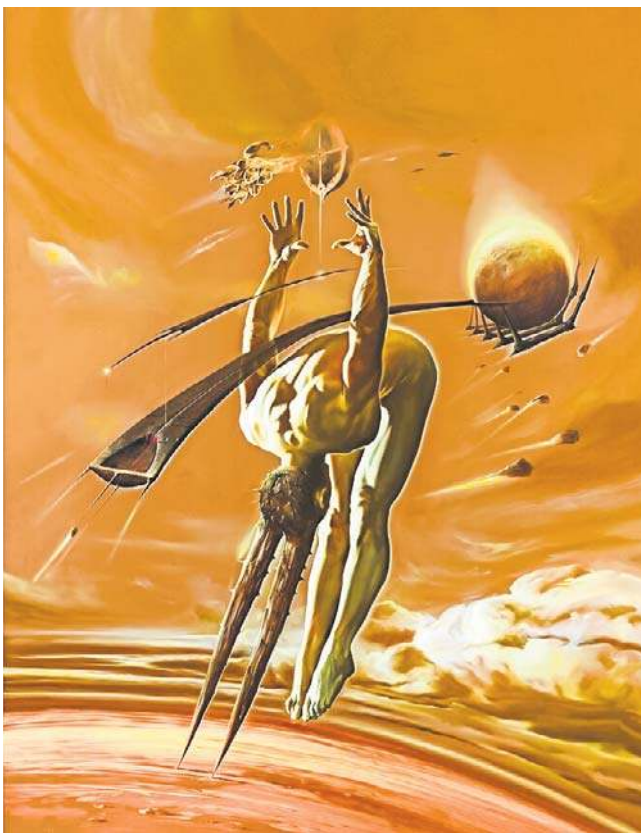
Zdarzyło się Panu, że to nie tekst, czy to Philipa K. Dicka, czy Franka Herberta, autora „Diuny”, potrzebował ilustracji, tylko odwrotnie: pański gotowy obraz nagle dopasowywał się do jakiejś historii, jak brakujący element układanki?

Zawsze jestem pełen podziwu dla polskiego czytelnika, który nigdy nie kwestionował tego wysiłku, przeciwnie, traktował go jak zdobycz: że ma człowieka, który chce przekazać swoją wizję, swój dialog z wielkim, genialnym pisarzem i że to będzie na jego korzyść, na korzyść czytelnika. Zwykle byłem zawiedziony ilustracjami, które zbyt dosłownie pokazywały tekst. Budziły we mnie niesmak, bo czułem, że autor nie tak to sobie wyobrażał. Proszę zauważyć: Frank Herbert nigdy nie posuwa się do takiego niezręcznego, zbyt precyzyjnego opisywania pojazdu czy sytuacji, które można by wprost zilustrować. Zawsze jest tam mgła, ta genialna mgła artystyczna, która pozwala dodać własną wizję. Dlatego ta współpraca trwa latami, nieustannie się regeneruje, a nowe wizje się w nią wpasowują. Ponieważ znam świat Philipa K. Dicka, dziś wystarczy, że przeczytam tytuł, a tytuły miał bardzo przemyślane, i on już dużo mi mówi. Rysunki, które wtedy powstają, są może najbardziej surrealistyczne ze wszystkich, ale przychodzą mi bardzo łatwo. To nawet nie jest odpowiedź, to jest reakcja przed odpowiedzią. Naprawdę istnieje łączność między Dickiem a tym, co robię. Mamy ten sam niepokój, podobne obserwacje, poniekąd pochodzimy z tego

ŚWIAT PHILIPA K. DICKA JEST NIESAMOWICIE NASYCONY – BÓLEM ALBO PRZECZUCIEM TEGO, CO NADEJDZIE. TO JEGO WIZJONERSTWO MNIE ZAFASCYNOWAŁO



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

samego pokolenia. W albumie, o którym Pani wspomniała, znalazły się wyjątkowe rysunki. Jest tam na przykład „Ostatnia Wieczera”, prawdopodobnie nieunikalna wizja, jakiej nikt wcześniej w ten sposób nie stworzył: grupa apostołów związanych ze sobą jakby sznurowadłem. To wszystko jest wynikiem bogactwa, które można

czepać z Dicka, ale też z Herberta i całej klasycznej kultury, na której się wychowałem: Caravaggia, Leonarda da Vinci. Fascynował mnie renesans, fascynował mnie kunszt tych ludzi i ich sposób myślenia. W gruncie rzeczy pchała mnie chęć rywalizacji. To dobre słowo. W Polsce rywalizacji nie było, były układy. Gdy przyjechałem do Paryża, zetknąłem się z prawdziwą rywalizacją. Przyjeżdżali tam wybitnie zdolni ludzie z całego świata.

Pan też czuł, że jedzie do Paryża jako wielki artysta?

Nie. Wie Pani, długo w swoim życiu trenowałem kulturystykę, podnosiłem ciężary i wiem, że trzeba pozostać

skromnym człowiekiem. Trening wymaga wysiłku, tak jak praca nad obrazem. Ona wymaga ogromnego wysiłku intelektualnego, a czasem i fizycznego, jeśli obraz jest duży. Gdy przyjechałem do Paryża, powiedziałem sobie: chcę się zmierzyć z tymi ludźmi, bo kto wie, może jestem lepszy? To mnie nie przerażało, przeciwnie, było stymulujące. Drukowałem swoje litografie w atelier, gdzie drukowano Magritte’a i Salvadora Dalego, i powoli to wszystko stawało się normalne. Mogłem spotkać Dalego, ale jakoś mnie do tego nie ciągnęło. Wciąż uważałem, że muszę się jeszcze czegoś nauczyć, że muszę jeszcze coś zrobić.

Cały czas ma Pan poczucie, że musi się jeszcze czegoś nauczyć?

Tak. To zostanie ze mną do końca życia. Mam to szczęście, że mnie to nie męczy. Nie mam strachu przed białą kartką, pomysły przychodzą mi niezwykle łatwo.

Trzeci pretekst naszego spotkania to Pana wystawa „Dialog wewnętrzny”, którą można oglądać w Galerii Sztuki i Domu Aukcyjnym Totuart, będącej Pana wyłącznym marszandem, w Centrum Praskim Koneser w Warszawie, do 10 stycznia 2026. Już sam tytuł sugeruje nieustanną rozmowę z samym sobą. Z kim tak naprawdę Pan się spiera, kiedy maluje, rysuje albo rzeźbi – z chłopakiem z Wielunia, wybitnym i uznanym na całym świecie artystą, czy może zupełnie inną istotą?

Dziękuję, że Pani tak ładnie sformułowała to pytanie, bo to właśnie moja historia. Bardzo dziwna historia. Ludzi, którzy mają jakieś wewnętrzne bogactwo, nazywa się we Francji „starymi duszami”. I ja taką starą duszę jestem. Pamiętam, miałem może sześć lat, mama kupiła pismo, na którego okładce była łyżwiarka tańcząca na jednej nodze. Bardzo mi się ten obraz spodobał i natychmiast chciałem go narysować. Nie miałem żadnego warsztatu, nie znałem anatomii, więc oczywiście nie wychodziło mi to tak, jak chciałem. Rysowałem i ciągle byłem niezadowolony, więc próbowałem jeszcze raz i znowu było źle, rozpląkałem się. Mama mówiła: „Synku, bardzo ładnie”, a ja odpowiadałem: „Nie, przecież widać, że to jest niedobre”. Dziś mogę porównać tamto swoje zachowanie z zachowaniem mojego wnuka. Jak on zrobi rysunek, to mu się podoba, jest z niego dumny. Kto więc postawił mi tę poprzeczkę tak wysoko? Dlaczego byłem niezadowolony? Skąd wiedziałem, czego chcę? I tak jest cały czas. Cały

czas dążę do czegoś co jest przede mną, chcę dorównać tej wysoko zawieszonej poprzeczce. Nie mam do nikogo pretensji, nikt mi jej nie narzuca. Po prostu jestem tym dążeniem. Tak właśnie zostało uformowane moje życie: „Zrób lepiej!”, „Idź wyżej!”. Dlaczego? Nie wiem. Nie dyskutuję z tym. Czy mam talent? Chyba tak bo słyszę te pochwały od dziecka, ale szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Uważam, że mam coś do powiedzenia i to robię. Chcę zrobić to jak najlepiej. Zapraszam Panią na moją wystawę do Galerii i Domu Aukcyjnego Totuart, gdzie może się sama Pani przekonać czy udało mi się to w tak szerokim spektrum mojej sztuki tam prezentowanej: w obrazach, w rysunkach, w rzeźbach czy również w biżuterii.

Kiedyś napisał Pan, że człowiek jest rozumnym pyłem kosmosu. Dziś, kiedy Pan patrzy na świat, wierzy Pan, że człowiek uczy się pokory, czy że rywalizuje z kosmosem?

Są ludzie, którzy potrafią przyjąć pokorę i może to są ci najbardziej wartościowi. Kiedyś mówiło się, że śmiałek, który porywa się na słońce, oślepie. Trzeba rozsądku, kiedy zdobywa się przestrzeń kosmiczną, wiedząc, że nigdy jej nie zdobędziemy. Jesteśmy pyłem gigantycznego kosmosu. I właśnie dlatego wielcy naukowcy potrzebują artystów, a artyści potrzebują naukowców. Brałem udział w spotkaniu zorganizowanym przez ESA, Europejską Agencję Kosmiczną. Zaproszono tam różnych artystów, żeby porozmawiać o tym, jak funkcjonuje nasza wyobraźnia, jak to możliwe, że możemy sobie wcześniej wyobrazić to, co naukowcy odkryją dopiero później.

Zwróciłam uwagę na tekst sir Rogera Penrose’a, laureata Nobla, zamieszczony w Pana albumie.

Pięćdziesiąt lat wcześniej miałem wizję, którą Penrose dziś rozwija, ale dla artysty takie wizje są stosunkowo łatwe. Naukowiec musi sobie na to pozwolić, musi mieć dowód. A droga do dowodu jest bardzo długa – ta akurat trwała pięćdziesiąt lat. Dziś udoskonalone teleskopy pozwalają widzieć, że nasz wszechświat „oddycha”, rozszerzając się a potem kurcząc, dokładnie tak jak wygląda proces naszego oddechu. Tak nazwałem to w swojej wizji.

Jak to jest, kiedy malarz intuicyjnie wymyśla rzeczy, do których nauka dochodzi po latach? Czy to dla Pana potwierdzenie, że wizjonerskie

Ciąg dalszy na str. 20

Dokończenie ze str. 19

patrzenie popycha świat w rozwoju?

Myślę, że trzeba zachować całkowitą skromność. Starożytni Grecy wymyślili wiele rzeczy, które nauka potwierdziła dopiero o wiele później. Zdolność obserwacji i nasza wrażliwość pozwalają nam na pewnego rodzaju dedukcję, może nawet dedukcję poetycką. Naukowiec nie może sobie na nią pozwolić. Musi być konkretny. Myślę, że nasze spojrzenie pomaga naukowcom, ale oni są ograniczeni możliwościami technicznymi. Dopiero dziś, dzięki niezwykłym satelitom i sondom, które łapią sygnały z kosmosu, możemy pewne rzeczy potwierdzić. A i tak jestem przekonany, że nigdy nie poznamy całej prawdy.

Urodził się Pan w Wieluniu, mieście, które stało się symbolem hitlerowskiej agresji, bo tu nastąpił pierwszy atak lotniczy. Czy można powiedzieć, że Światowy Projekt Pokoju „Wieczna Miłość”, czyli między innymi Pana monumentalna rzeźba w centrum Wielunia, jest reakcją na to pierwsze bombardowanie, które naznaczyło Pana miejsce urodzenia?

Tak. To bardzo leżało mi na sercu. Rzeźba „Wieczna Miłość” miała być częścią tryptyku, miała pokazywać, że wojna nie tylko niszczy piękno i ludzi, ale że właśnie tu, w Wieluniu, nastąpiła zagona. Mój brat był jedną z ofiar bombardowań chemicznych, podobnie jak wiele jego kolegów i koleżanek. Zmarł w wieku ponad siedemdziesięciu lat, a ja przez całe życie patrząc na jego cierpienie, przyrzekłem jemu, że dołożę starań żeby o tym pamiętać. Uważam, że powinien powstać memoriał z nazwiskami osób, które zostały zamordowane w czasie tego barbarzyńskiego nalotu.

Władze się zmieniają.

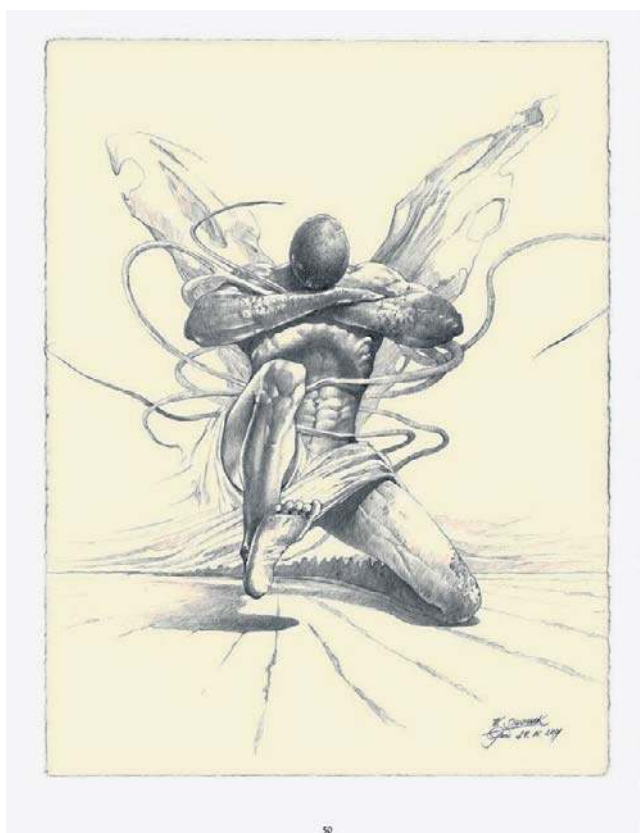
Tak, wierzę, że to w końcu zrealizujemy.

Jeśli już jesteśmy w Wieluniu, chciałem zapytać, czy wraca Pan myślami do swojego dzieciństwa: konkretnego domu, zapachów. Co Pan widzi, kiedy zamyka oczy?

Niestety najsilniejsze obrazy to te nieszczęśliwe. Pierwsze wizje zgłiszcz, powyrwanych drzwi do piwnic, wiszący sznur, na którym wieszano Niemców, walające się w ruinach menażki żołnierzy, podeptane hełmy, łuski. I ten niesamowity smród baraków, których Niemcy używali tymczasowo, a później mieszkańcy żyli tam latami, prawdopodobnie się zatrduwając. Ten sam odór dało się poczuć na torach kolejowych. Ten



FOTT. MATERIAŁY PRASOWE



FOTT. MATERIAŁY PRASOWE

sam nieznosny zapach. Kiedy robiło się ciepło, pół miasta tym cuchnęło. I jeszcze ludzie, pokaleczeni. W naszej klasie był chłopak, który miał skórę jak wąż, inny cierpiał na nieustanny, potworny katar. Pamiętam dziewczynę ze straszną krzywicą, chłopaka, który miał popsute wszystkie zęby. My, dzieciaki, też byliśmy ofiarami. Wojna nas nie oszczędziła. Nie mówię już o dorosłych, np. tych na wózkach inwalidzkich zbudowanych z dna skrzynek. Człowiek bez nóg przemieszczał się, odpychając się klockami utrzymanymi w rękach. To potwornie bolesne obrazy, od których uciekałem. Wolałem patrzeć na kwiaty, szukać pięknych twarzy, żeby uświa-

domić sobie, że jednak nie wszystko zostało zniszczone. Chodziłem nad staw, patrzyłem na bazie, na piękne ważki, spóźniając się przez to do szkoły, tak się zapatrzalem na piękno przyrody która mnie otaczała. To było moje antidotum.

Kto pierwszy powiedział: „Wojtek, ty masz naprawdę talent”?

Stało się to dość wcześnie i było to zdarzenie niemal mistyczne. Oczywiście w szkole nauczycielki mówiły ojcu: „Ten pana syn ma talent”, bo robiłem szkolne gazetki. Ale mając trzynaście lat, wybrałem się do Warszawy na egzamin do Liceum Sztuk Plastycznych. Wsiadłem do po-



FOTT. MATERIAŁY PRASOWE



FOTT. MATERIAŁY PRASOWE

ciągu z drewnianymi ławkami, wszystkie były zajęte przez ludzi palących papierosy. Znalazłem przedział, w którym nikt nie palił. Siedziała tam starsza pani. Od razu zapytała: „A co ty masz pod pachą, synku?”. Odpowiedziałem, że karton z rysunkami, bo jadę na egzamin do liceum plastycznego. „A, to ty chcesz być artystą” - powie-

działa i zaczęła wołać: „Proszę księdza, niech ksiądz przyjdzie i zobaczy młodego artystę, który stanie się wielkim artystą”.

Ale pięknie powiedziała!

Prawdopodobnie była przedstawicielką dawnej arystokracji. Miała kapelusz, rękawiczki, wyglądała jak postać z filmu Buñuela albo Felli-

niego. Chciała zobaczyć moje rysunki, a to były tylko próbki. Nie wiedziałem jeszcze, jak potoczy się egzamin. Ciotka, która mieszkała w Warszawie, w mieszkaniu tak ciasnym, że nie mogła mnie przenocować, po egzaminie oznajmiła: „Wiesz, co powiedział pan profesor? Że jesteś wybitnie zdolny”. A ja wtedy nawet nie wiedziałem, co to znaczy wybitnie zdolny. Ten profesor nazywał się Włodzimierz Tiunin. To był człowiek, który kochał swoich uczniów, chciał im przekazać wszystko, co sam wiedział, wszystkie techniki. Nie był zadufanym profesorkiem. Nauczył nas skromności, wysiłku. Mam dla niego ogromną wdzięczność. Takich ludzi jest mało. To są ci skromni mentorzy, którzy wywarli na nas niezwykle wpływ.

Sztuka była dla Pana formą ucieczki z brzydoty w piękno?

Może tak. Ale miałem też oczy otwarte, nie zamykałem się na świat. Myślę, że taki się urodziłem, z darem, że chciałem rysować za wszelką cenę. I że od razu, jako dziecko, wiedziałem, czułem, co jest narysowane dobrze, a co źle, chociaż dziecko nie powinno tego jeszcze wiedzieć.

A kosmos? Kiedy Pan go odkrył?

Pamiętam taki moment: miałem dziesięć lat, wychodziliśmy ze szkoły. Było bardzo późno, na dworze ciemno. Niebo czyściutkie. Śniegu padało tyle, że nie mogliśmy się powstrzymać, żeby się w niego nie rzucać. Rzucaliśmy się i robiliśmy „orły”. Całe mnóstwo. Kiedy spojrzalem na ten śnieg, zobaczyłem w wyobraźni komiks: orły zrywające się do lotu w przestrzeń kosmiczną. Dzieci się rozeszły, rodzice już je wołali do domu, a ja jeszcze zostałem. Pomyślałem: „Zrobię jeszcze jednego orła”. Rzuciłem się na ziemię, spojrzałem w górę i nagle ujrzałem przed sobą rozgwieżdżone niebo. Wtedy naprawdę po raz pierwszy zobaczyłem kosmos, tę niesamowitą otchłań. Przeszedł mnie dziwny zimny dreszcz, chociaż byłem rozgrzany. To było tak, jakby piorun we mnie uderzył, zostałem zelektryzowany widokiem piękna kosmosu. Następnego dnia zapytałem nauczyciela: „Proszę pana, a co jest za gwiazdami?”. Odpowiedział: „Za gwiazdami? Tam nic nie ma”. Od tej pory narodziło się we mnie to poszukiwanie: co tam jest dalej. Przez całą Akademię, malując rzeczy abstrakcyjne, cały czas szukałem kosmosu. I ten kosmos wchłonił mnie dokumentnie. A kiedy dołączyłem do paryskiego środowiska science fiction, samo już tak poszło. Po prostu się tam jak ryba w wodzie

ZDOLNOŚĆ OBSERWACJI I NASZA WRAŻLIWOŚĆ POZWALAJĄ NAM NA PEWNEGO RODZAJU DEDUKCJĘ, MOŻE NAWET DEDUKCJĘ POETYCKĄ

PO CO WILLY BRANDT PRZYBYŁ DO POLSKI W GRUDNIU 1970 R.

Kanclerz Niemiec wysiadł z samolotu na Okęciu
6 grudnia 1970 r. przed południem. Jego wizyta miała
zmienić nie najlepsze wówczas relacje polsko-niemieckie,
a przede wszystkim ustalić granice

Mariusz Grabowski

Ltej wizyty wszyscy pamiętają widok Brandta klęczącego 7 grudnia pod pomnikiem Bohaterów Getta. Ów gest zinterpretowano jako publiczne wyznanie winy i uznanie moralnej odpowiedzialności narodu niemieckiego wobec Żydów. Ale główny cel wizyty Brandta w Warszawie był inny.

„Jestem socjaldemokratą”

Brandt został kanclerzem Republiki Federalnej Niemiec w październiku 1969 r., a jednym z ważniejszych celów jego polityki zagranicznej stało się uregulowanie relacji z państwami Bloku Wschodniego, przede wszystkim ze Związkiem Sowieckim i Polską Rzeczpospolitą Ludową.

Z przekonania Brandt był liberalnym socjaldemokratą, który w 1964 r. zastąpił Ericha Ollenhauera na stanowisku przewodniczącego SPD (Sozialdemokratische Partei Deutschlands). W okresie rządów tzw. wielkiej koalicji CDU/CSU (Christlich Demokratische Union Deutschlands/Christlich-Soziale Union in Bayern) i SPD w latach 1966-1969 Brandt pełnił urząd wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych. Po wygraniu wyborów do Bundestagu przez koalicję SPD i liberałów z FDP (Freie Demokratische Partei) we wrześniu 1969 r. został wybrany na kanclerza. Stało się to 21 października.

Już w listopadzie Brandt, czyli niemal błyskawicznie, udzielił „Życiu Warszawy” szeroko komentowanego wywiadu, w którym deklarował chęć „nawiązania lepszych relacji z Polską”. Komunistyczne władze w Warszawie „wyraziły zadowolenie” z postawy nowego zachodnioniemieckiego kanclerza.

Gesty i czyny

Gdy spojrzymy w „Kalendarium stosunków polsko-niemieckich w XX wieku” zamieszczone na gov.pl, czyli oficjalnej stronie polskiego rządu



Polityka Willy'ego Brandta szła w poprzek tzw. doktryny Hallsteina. Zgodnie z nią, RFN nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z państwami, uznającymi NRD

zauważymy, że w latach 60. nastąpiło zjawisko stopniowego zbliżenia polsko-niemieckiego.

W październiku 1965 r. zostało ogłoszone memorandum Niemieckiego Kościoła Ewangelickiego „O sytuacji wypędzonych i stosunku narodu niemieckiego do wschodnich sąsiadów”. W odpowiedzi polscy biskupi opublikowali „Orędzie do biskupów niemieckich w sprawie pojednania między obu narodami”.

15 marca 1967 r. podpisano układ o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy między Polską a NRD na okres 20 lat. Rok później grupa katolików zrzeszonych w Kole z Bensbergu ogłosiła apel, w którym domaga się „pokoju uregulowania stosunków z Polską i wezwania do „uznania powojennego terytorialnego status quo”.

Gest wykonał także I sekretarz PZPR Władysław Gomułka. 17 maja 1969 r. skierował pod adresem Republiki Federalnej Niemiec ofertę „nawiązania wzajemnych stosunków dyplomatycznych”.

Co z tą granicą?

Można powiedzieć, że polityka Willy'ego Brandta i chadecko-liberalnej koalicji rządzącej RFN szła w poprzek tzw. doktryny Hallsteina. Zgodnie z nią, RFN nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z państwami, uznającymi odrębność państwową NRD. To było jednym z powodów braku formalnych relacji między RFN a PRL.

Innym powodem było podkreślanie przez rząd w Bonn tymczasowego charakteru zachodniej granicy Polski. Jedną trzecią terytorium PRL traktowano w zachodnich Niemczech jako tereny, znajdujące się pod „czasową administracją polską”. Takie stanowisko, wywołujące zdecydowany sprzeciw w Polsce, było pochodną poglądu wielu milionów Niemców, którzy przez prawie dwie dekady mieli nadzieję na zmianę granicznego status quo na wschodzie. W tej sytuacji przez dekady nie było mowy o dialogu międzyrządowym między Warszawą a Bonn.

Brandt ze swoją Ostpolitik, wypracowaną głównie przez Egona Bahra, w latach 1969-1974 sekretarza stanu w urzędzie kanclerskim, miał ambicję zmiany tej sytuacji.

Niemcy w Moskwie

Najpierw, w sierpniu 1970 r., RFN podpisały w Moskwie układ z ZSRR. Jego sygnatariuszami byli kanclerz Willy Brandt i minister spraw zagranicznych RFN Walter Scheel oraz premier ZSRR Aleksiej Kosygin i minister spraw zagranicznych ZSRR Andriej Gromyko.

Dokument miał pięć artykułów, z czego ważny dla Polski był artykuł trzeci: „Strony zobowiązują się do poszanowania wszystkich granic europejskich, w tym zachodniej granicy PRL i granicy RFN-NRD, a także do niewysuwania w przyszłości roszczeń terytorialnych”.

Co ciekawe, przy okazji jego podpisywania przedstawiciele Republiki Federalnej Niemiec przekazali przedstawicielom Związku Radzieckiego „list do-

tyczący zjednoczenia Niemiec”. Mówił on o politycznej woli RFN do dążenia ku jedności Niemiec, jeżeli będzie się to odbywało zgodnie z prawem niemieckiego narodu do samostanowienia i z zachowaniem pokoju.

„Bardzo serdecznie”

Porozumienie niemieckorosyjskie dawało zielone światło dla porozumienia Niemiec i Polski. Władze partyjno-rządowe PRL wystosowały do Bonn oficjalne zaproszenie i w konsekwencji samolot Lufthansy 6 grudnia 1970 r. przywiózł Brandta do Polski.

Mieczysław Rakowski, ówczesny poseł, aparatczyk KC PZPR i naczelny „Polityki”, w swoim dzienniku zapisał, że „kanclerz Niemiec był wzruszony już w chwili wylądowania na Okęciu, kiedy odgrywano hymny Polski i Niemiec. Jeszcze tego samego dnia Brandt zjadł wystawną kolację w towarzystwie pierwszego sekretarza, Władysława Gomułki. Atmosfera było podobno niezwykle serdeczna”.

7 grudnia, już po symbolicznym geście pod Pomnikiem Getta, Willy Brandt i premier PRL Józef Cyrankiewicz podpisali Układ między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Federalną Niemiec o podstawach normalizacji ich wzajemnych stosunków. Uroczystość odbyła się w samo południe w Sali Kolumnowej pałacu Rady Ministrów (obecnie to Pałac Prezydencki).

Radość tow. Gomułki

Traktat zatwierdzał przede wszystkim nienaruszalność granic, poszanowanie integralności terytorialnej i suwerenności wszystkich państw w Europie jako warunku zapewnienia pokoju. RFN uznała oficjalnie zachodnią granicę Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Grzegorz Berendt w tekście „Willy Brandt w Warszawie 7 grudnia 1970 r.” zauważa, że wielu Niemców uważało, że kanclerz zdradził tam interesy niemieckiej wspólnoty narodowej, godząc się na trwały związek istotnej części dawnego terytorium Rzeszy z powojenną Polską.

„Traktat warszawski” - jak pisał o nim w Niemczech - był bez wątpienia sukcesem polityki Władysława Gomułki. Jeszcze w kwietniu 1969 r. przywódca NRD Walter Ulbricht, który samowolnie uważał się za głównego pośrednika w relacjach krajów komunistycznych z RFN, mówił Gomułce wprost, że takie relacje nie mają sensu. Miesiąc później, w maju 1969 r. Gomułka publicznie ogłosił, że „nie ma żadnej przeszkody prawnej, by PRL nawiązała stosunki z Niemcami Zachodnimi”.

Choć ówczesne państwo polskie było w dużym stopniu niesuwerenne, a jego władze

były politycznie podporządkowane Kremlowi, to polskim komunistom udało się wynegocjować ponadczasowy układ broniący granic Polski.

Kwestia reparacji

Istnieje dyplomatyczna legenda, że pewne akapity traktatu naszkicował osobiście ołówkiem Władysław Gomułka, prosty ślusarz bez wykształcenia, ale za to z polityczną intuicją. Warto też wiedzieć, że fragmenty tego układu stały się potem wzorem dla ułożenia tekstu końcowego aktu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie podpisanego 1 sierpnia 1975 r.

Wieczorem 7 grudnia - twierdzi dr Robert Spałek z IPN - podczas rautu po podpisaniu układu, Gomułka powiedział Brandtowi, że gdyby doszło do wypłaty odszkodowań indywidualnych za straty wojenne poniesione przez Polaków, to wyniosłyby one ok. 180 mld marek RFN.

„Zasugerował, że rozmowy o reparacjach i odszkodowaniach indywidualnych byłyby długie i żmudne. Ich wynik byłby dla PRL niepewny, dlatego lepszą i szybszą rekompensatą dla Polski byłoby pozyskanie długoterminowych, niskoprocentowanych kredytów od RFN”.

Z pokojowym Noblem

17 maja 1972 r. Bundestag i Bundesrat ratyfikowały „układ warszawski”. Dwa lata później RFN przyznała Polsce kredyt w wysokości 1 mld marek. Z kolei w październiku 1975 r. podpisano w Warszawie, przez ministrów spraw zagranicznych Polski i RFN, porozumienie dotyczące „nieuregulowanych spraw w stosunkach polsko-niemieckich”. W tym umowę o wznowieniu wyjazdów Niemców z Polski, w tzw. formule łączenia rodzin.

Okazją do zawarcia tego porozumienia było spotkanie nowych przywódców obu państw: Edwarda Gierka i Helmuta Schmidta, na konferencji w Helsinkach. Spotkanie było bardzo krytykowane - doszukiwano się w nim brudnego politycznego dealu: wypuszczenia z Polski Niemców, szczególnie z Opolszczyzny, w zamian za kredyty.

Cztery lata wcześniej, w 1971 r. Willy Brandt został uhonorowany za swoją „politykę pojednania między dawnymi, wrogimi sobie krajami” Pokojową Nagrodą Nobla. W uzasadnieniu Komitetu Noblowskiego napisano, że Brandt „w imieniu narodu niemieckiego wyciągnął rękę do polityki pojednania między dawnymi wrogimi krajami”.

Granica na Odrze i Nysie Łużyckiej została ostatecznie uznana w polsko-niemieckim traktacie granicznym z 14 listopada 1990 r.

KRISTI RATUJE ZWIERZĘTA. NA FRONCIE

– Myślę, że z psami na wojnie jest jak z pierwszymi ludźmi, którzy doświadczały burzy. To dla nich przerażające i niezrozumiałe – mówi Krystyna Drahomarecka

Maciej Czerniak

Owczarek, którego osłoniła własnym ciałem, lizała ją potem po dłoniach. Czuł, komu zawdzięcza życie. To było w maju 2024 r. Wraz ze swoimi ludźmi, z grupy „12” („12 Strażników”) w obwodzie Donieckim w Ukrainie robiła to, co zaczęła jeszcze przed wojną: ratowała zwierzęta.

Bitwa na sąsiedniej ulicy

Na stałe pracują pod Odessą. Tam Krystyna prowadzi swój azyl dla psaków, o którym mówi „szelter”, a który nazwała „Miejsce pod słońcem”. Każdego miesiąca na tydzień udają się w rejon frontowy. Jadą na południe albo na wschód. Tam oddawiają blaknące się psy.

Wtedy, w maju 2024 na akcję pojechali zgodnie z planem. Ewakuacja okazała się jednak wyjątkowo trudna. – Normalnie, kiedy jesteśmy w pobliżu linii frontu, dobrze wiemy, gdzie są pozycje Rosjan, w jakich odległościach. Wojskowi mają szczegółowe rozeznanie – mówi Krysti. – Tym razem było inaczej.

Rozpoczęła się „operacja charkowska”. Rosyjskie natarcie w kierunku stolicy obwodu. Na drodze wojsk był właśnie Wołczańsk, był też Toreck, gdzie właśnie znaleźli się wolontariusze. – Rosjanie zaczęli częściej używać dronów, więc nie mogliśmy się ewakuować w dzień. Próbowaliśmy nocą, ale to też było trudne, bo oni używają termowizji.

W czasie masowego ataku na miasto zrobił się, jak mówi Krysti, kocioł. Rosyjscy żołnierze byli wszędzie. W tym kotle oni – wolontariusze, animalisi. Po co? Rozmawiamy o tym z Krysti, ale opowieść zaczyna rządzić się swoją logiką. Pokrętną, chaotyczną. Ogień we wspomnieniach znów staje się żywy i przesłania porządek zdań. – Rosjanie byli dwie ulice dalej, wywiązała się bitwa. Oni widzieli, że jesteśmy tam, że zabieramy psy, ale to dla nich nie miało żadnego znaczenia – opowiada. – Może nie dowierzali, że wolontariusze mogli się znaleźć tak blisko frontu i to nocą... Ich to zresztą nie obchodziło. Widziałam, jak dron zabija parę starszych osób. Małżeństwo –

oni uciekali ze swoim psem, chcieli się ewakuować.

W tym ataku Krysti została ranna. Wybuch odrzucił ją, odłamek pocisku trafił w udo. Doznała wstrząsu mózgu. Wolontariusze szli wtedy ze zwierzętami. Krysti miała ze sobą małe psy, jej kolega, jeden z „dwunastu”, prowadził owczarka niemieckiego. Kiedy doszło do ataku, próbowała osłonić zwierzę własnym ciałem. Pies już przedtem był rozdrażniony, potem wpadł w panikę.

Kiedy ewakuowali się, ukryli się w przyziemiu budynku już w bezpiecznej strefie, siedziała z nogą owiniętą purpurowym, przesiąkniętym krwią opatrunkiem, a pies już lizał ją po ręce. Na swój sposób czuł, kto go ochronił.

– To jest taka różnica, że my, ludzie, widzimy te wszystkie okropności, ale rozumiemy, skąd się biorą; że to wojna, że ta śmierć może nadejść. I wiemy, z której strony może przyjść. Dla zwierzątek to czysta zgroza. Psy boją się fajerwerków. Wyobraź sobie, czym jest dla nich hałas ognia frontowego. Wystrzały z dział, odpalane pociski rakietowe. I to trwa i trwa.

Dwa światy

Krystyna Drahomarecka ma 28 lat, jest architektem. Przed wojną pracowała w zawodzie, w Odessie. Popołudniami, kiedy wracała do domu, czuła się samotna. Pewnego dnia w 2020 r. na Facebooku znalazła post Ludmiły, która pokazywała, jak ratuje zwierzęta znalezione na ulicy. Krysti napisała do niej.

– Też zawsze chciałam to robić, ale nie wiedziałam jak. Myślałam, że aby prowadzić schronisko, trzeba mieć dużo pieniędzy. Teraz wiem, że chyba wszyscy, którzy prowadzą schroniska, są biedni. A mimo wszystko robią to.

Ludmiła pokazała, że to jest możliwe – można wziąć psa z ulicy i znaleźć dla niego rodzinę. – Zawsze sobie wyobrażałam, że jeśli mnie spotkałoby coś takiego, ten pies zostałby ze mną na zawsze. Nie mogłam jednak tego zrobić – uśmiecha się Krysti – bo mieszkalam z rodzicami, nie było na to szans.



Krystyna Drahomarecka buduje pod Odessą schronisko dla psów

– Na początku więc pomagałam Ludmiłę w poszukiwaniu nowych domów dla psów. Powiedziałam, że mam balkon i tak możemy zacząć, mogą tam przez jakiś czas trzymać zwierzęta. Tak to się zaczęło. Z czasem zaczęłam już ratować zwierzęta na własną rękę.

Gdy wojna się rozpoczęła, były już dobrzy przyjaciele, oni zajmują się ich leczeniem, odrobaczaniem itd. Kociaki trafiają do nowych właścicieli. Ja jestem psiara, więc mnie łatwiej jest znaleźć nowy dom dla psa niż dla kota.

– W Ukrainie naprawdę trudno znaleźć kogoś, kto przyjmie psa do domu. Gdy rozmawiam na ten temat z Polakami, to widzę, że wy też przechodziliście pewną ewolucję, że zmienił się stosunek ludzi do zwierząt. Wiem, że tu też psy trzymano na łańcuchach, a teraz

kilka starych zabudowań, teren zarośnięty krzakami, zaśmiecony. Każdego dnia coś poprawiamy. Mamy pracownika, który każdego dnia coś u nas buduje. Fundusze są niewielkie, nie możemy po prostu wynajmować ekipy do zbudowania całego tego miejsca od początku do końca. Jesteśmy zależni od darczyńców. Współpracujemy z organizacją Grater Good, która jest naszym najważniejszym sponsorem.

Działalność Krysti i jej przyjaciół wpływa też na bezpieczeństwo ludzi. Kiedy żołnierze na froncie walczą z okupantem, Krysti ma wroga równie groźnego. To wściekłość: – Jest to ogromny problem u nas. Choroba śmiertelna dla zwierząt i dla ludzi. Jesteśmy częścią UWAF, czyli Ukraine War Animals Relief Fund i przez ostatnie dwa lata udało nam się wspólnie przeprowadzić sterylizacje około 800 tysięcy psów, a takich zabiegów trzeba wykonać około 1,5 miliona.

W Ukrainie, jak mówi Krysti, często uważa się, że po sterylizacji pies staje się bezużyteczny. Przestaje szczekać i nie broni posesji. – Bywa, że kiedy urodzą się szczeniaki, po prostu się je topi. To straszne.

O pracy Krysti i jej zespołu opowiada film dokumentalny produkcji kanadyjskiej w reżyserii Olhy Byrledianu. Premierę miał w 2024 roku na festiwalu w Seattle i zebrał wiele nagród na całym świecie.

David Jackson, autor recenzji dla BAFTA Qualifying Cambridge Film Festival: „Nie da się patrzeć na osamotnionego psa, w czasie ataku rakietowego, kulącego się ze strachu i nie uронić łzy. Nie da się nie zapłakać na widok tego samego psa, kiedy po opiekę wolontariuszy UWAF dochodzi do siebie i oswaja”. Dalej krytyk pisał: „Film skupia się na sprawie ratowania bezpańskich zwierząt, ale przypomina, że za ich losami kryją się ludzkie tragedie”.

– Zawsze się zastanawiałam, dlaczego mamy takie problemy ze zwierzętami. Wciąż jest wiele okrucieństwa, traktuje się je jak przedmioty. Tłumaczymy, że nie można karmić ich resztkami naszego jedzenia, że zwierzę potrzebuje opieki weterynaryj-

nej. Wielu widzi to tak: Jeżeli pies choruje i umrze, to OK, weźmiemy sobie nowego.

Psy i ludzie

W listopadzie Krysti przyjechała do Bydgoszczy. Na Festiwalu Prapremier w Teatrze Polskim wystawiono spektakl „Psy i Ludzie” Vyachesława Volkonsky’ego. To sztuka w części inspirowana historią Krysti. W części, bo porusza też tematykę przemocy wobec zwierząt i stawia pytania o granice człowieczeństwa w czasie wojny.

Krysti spotkała się z Eleną Morozową, prezeską Kujawsko-Pomorskiego Domu Ukraińskiego, która wspiera jej działania. Odwiedziła też bydgoskie schronisko dla zwierząt prowadzone przez Izabellę Szolginie. – To, co robi Izabella, napędza mnie otuchą, a jej historia inspirowała. Ona też budowała to miejsce małymi krokami. A teraz to w pełni profesjonalne schronisko. Mam nadzieję, że my też takie stworzymy.

Z tej wizyty Krysti wyjechała zaopatrzona w worki karmy dla psów. Po wojnie chce dalej pomagać zwierzętom. – Jestem w tym dobra i kocham to. Mamy wiele planów. Chcemy założyć szkołę, współpracować z trenerami, behawiorystami. Byłam na szkoleniu w Kanadzie, gdzie przysposabia się psy do pracy nie tylko z osobami niewidomymi. Chcemy szkolić je do asystowania niepełnosprawnym żołnierzom.

Opowiada, że psy jak ludzie, przechodzą traumę. Jej podopieczni trafiają do adopcji w Polsce, w Czechach i Niemczech. – Mówiono mi, że w Kijowie nie ma frontu, więc tam możemy szukać nowych domów dla psów. Miasto jednak niemal codziennie jest celem ataków dronów i rakiet. Wiele psów umiera na atak serca.

Przekonuje, że każdy pies ma swoją osobowość. Nie każdy będzie zdolny do pomocy osobie niepełnosprawnej. – To tak, jakby kazać fotografowi pracować jako kucharz. Nauczy się gotować, ale nie będzie robił tego z oddaniem. Każdy powinien być na swoim miejscu. Ze zwierzętami jest podobnie.

©©

Zofia Komedowa, Maria Kownacka, Joanna Hasiorowa – są bardzo różne. Co łączyło je w ich związku z Bieszczadami?

Wszystkie kochały niezależność, miały ogromną wiarę w siebie i przekonanie, że poradzą sobie wszędzie. Hasiorowa, artystka tkaniny, żona Władysława Hasiora, podróżowała i wystawiała prace na całym świecie. Komedowa – najpierw żyła jako światowa kobieta u boku męża muzyka, torując mu karierę, a potem odważna wdowa. Kownacka – przez lata bez oporów ruszała w teren, nawet po siedemdziesiątce, by obserwować przyrodę. Była wieczną „kobietą w drodze” – reporterką, krajoznawczynią, która musiała wszystko w naturze dotknąć, usłyszeć i zobaczyć. Pracowała do końca życia. Wszystkie moje bohaterki to kobiety wyzwolone, samodzielne, odważne, gotowe podjąć decyzję o zmianie życia z dnia na dzień. Synowie Hasiorowej i Komedowej opowiadali mi, jak nagle usłyszeli od matek, że mają im wynająć pokój lub spakować rzeczy z mieszkania, bo one zostają w Bieszczadach. Moje bohaterki łączyła też ogromna uważność na przyrodę. Zofia Komedowa opowiadała, że nie mogła się skupić na czytaniu, bo tyle działo się wokół jej domu w Bieszczadach: a to samy podchodziły pod San, a to łasice biegały po strychu, a to niedźwiedź wszedł na podwórko, albo obserwowała przez lornetkę ptaki w dolinie Sanu.

To bohaterki na nasze czasy?
Zdecydowanie. Realizowały w jakiś sposób – pewnie nieświadomie – ideę głębokiej ekologii. Nie stawiały siebie w centrum i zamykały się w domach, tylko budowały relacje z sąsiadami, rozumiały, że współczucie to nie uczucie, tylko postawa, dbały o zwierzęta, przyglądały się roślinom rosnącym obok domu, czyli aktywnie, z pełnym zaangażowaniem nawiązywały więzi ze wszystkim, co żyje. I troszczyły się o środowisko. Pomagały innym i chroniły to, co wokół, doświadczając Bieszczadów w pełni.

Tytuł „Nie dopytuj się” brzmi jak nakaz milczenia. Co oznacza?
To zdanie usłyszałam w Bieszczadach kilka razy. Na przykład od gospodarza schroniska, którego dopytywałam kiedyś o współuczestników pewnego wieczoru w Bieszczadach. Opowiedział mi historię jednego z kolegów, który w nich przepadł. Drugi raz – od osoby wychowanej w Bieszczadach, która odkryła, że część rodziny kolegi, która nagle zjawia się w jego domu, trafiła na Warmię po wysiedleniu w czasie akcji „Wisła”. W obu sytuacjach padło: „Nie dopytuj się”. Nie wiedziałam też przez długi czas, czy mam prawo dopytywać

ARTYSTKI, NIEZALEŻNE WDOWY I BUNTOWNICZKI. BOHATERKI BIESZCZADZKICH OPOWIEŚCI

Bieszczady – kraina wolności, zakapiorów, artystów i uciekinierów od miejskiego hałasu. Ale im dłużej im się przyglądać, tym wyraźniej widać, że to miejsce nie jest ani romantyczną dziczą, ani pustą przestrzenią gotową na nowe legendy. Pod warstwą współczesnych opowieści wciąż żyją tu historie wysiedleń, nieistniejących wsi, wieloetnicznych sąsiedztw i pamięci. Anna Kamińska w książce „Nie dopytuj się” wraca w Bieszczady, by opowiedzieć je na nowo z kobiecej perspektywy

Jolanta Tęcza-Ćwierz



Anna Kamińska: Przez dwa lata jeździłam w Bieszczady na reporterskie wyprawy

o losy pewnej rodziny z Wełtyny, aż w końcu się odważyłam. Uznałam, że to świętny tytuł, bo w Bieszczadach takich niedopowiedzianych historii – wynikających z wojny oraz wysiedleń, przesiedleń, czy trudów życia na co dzień jest mnóstwo, a codzienność bieszczadzka i okruciny wielkiej historii to tło mojej książki.

Jak często trafiała pani na historie, których nie dało się dopytać?

W Bieszczadach pamięć została przerwana w latach 40. XX wieku, więc nieustająco traflałam na takie historie. Każda wieś ma inną przeszłość: jedne miejscowości objęła akcja „Wisła”, inne – jak okolice Lutowisk – nie, bo do 1951 roku należały do ZSRR, dopiero potem na skutek korekty granic wróciły do Polski. Ta wielość, różnorodność i gęstość historii była dla mnie wyzwaniem.

Jak wyglądała pani praca?

Przez dwa lata jeździłam w Bieszczady na reporterskie wyprawy. Część rozmów zawsze miałam umówionych, a część wynikała z tego, że ktoś spotkałam na miejscu. Przyglądałam się życiu w wielu miejscowościach. Rozmawiałam z rodzinami i przyjaciółmi głównych bohaterów książki, przeglądałam dokumenty, odwiedzałam archiwa, odsłuchiwałam nagrania Zofii Komedowej, odszyfrowywałam listy byłej żony Władysława Ha-

siora, odszukiwałam świadków zdarzeń w innych częściach Polski i sporo czytałam, żeby nie powtarzać tego, co już napisano o Bieszczadach, tylko opowiedzieć czytelnikom nowe historie.

Czy podczas zbierania materiałów coś panią zaskoczyło?

W Bieszczadach zaskakuje wiele i to nawet ludzi, którzy są stamtąd, choćby dzika przyroda. Spotyka się tam osoby z nieprzewidywalnymi pomysłami na życie, barwnymi osobowościami, czy takich, którzy opowiadają niestworzone rzeczy. Przed sklepami we wsiach siedzą miejscowi, którzy potrafią snuć opowieści bez końca. Mnie na pewno zaskoczyła Zofia Komedowa. Znałam ją z opowieści artystów i publikacji – raczej niepoehlebnich. A jej sąsiedzi malowali zupełnie inny obraz „Zośki” – osoby, która pomagała wszystkim we wsi, wozila cudze zwierzęta do weterynarza, pomagała ludziom pisać pisma, załatwiała lekarzy, prowadziła dom otwarty dla wszystkich: i dla artystów, i dla miejscowych.

A same Bieszczady? Zmieniła się pani wizja tych gór?

Znałam Bieszczady od lat z górskich wędrówek i miałam zawsze wrażenie, że to góry łagodne. Jednak kiedy zaczęłam rozmawiać w ramach pracy nad książką z ratownikiem GOPR i dowiedziałam się o wielu zdarzeniach: zaginięciu dzieci na połoninie, zamarnięciu leśnika w lesie na skutek załamania pogody, czy wypadku śmiertelnym na łagodnym Bukowym Berdzie, zaczęłam na nie patrzeć inaczej, z respektem. Opisuję w książce te historie.

Pisze pani również o napięciach kulturowych: Bojkowie, Łemkowie, Polacy, Ukraińcy, Żydzi. Czy Bieszczady nadal noszą ślady tamtej wieloetnicznej historii?

Ślady rzeczywiście noszą, ale mam wrażenie, że o wieloetniczności, wielokulturowości, czy wielonarodowości dawnych Bieszczadów mówi się zdecydowanie za mało. Wielokulturowość sprzed II wojny światowej nie jest tu szeroko opisywana, pokazywana, czy przypominana. W Lutowiskach jest kirkut – cmentarz żydowski, ale trudno do niego trafić, tablica informacyjna stoi gdzieś na uboczu, a w miejscu byłej synagogi, po której zostały ruiny, leżą śmieci. Zdecydowanie brakuje działań, które przywołałyby tamtejszą historię.

W książce pojawia się też Siłmona Kossak. Jaką rolę odegrała w kontekście Bieszczad?
Zanim trafiła do Puszczy Białowieskiej, marzyła, by pracować w Dolinie Hulskiej w Bieszczadach. Pojechałam tam jej śladami, żeby zobaczyć miej-

sce, które sobie wymarzyła. Znała te góry z czasów studiów biologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim i po dyplomie chciała badać tam dzikie zwierzęta. Nie dostała jednak pracy, nie było tam jeszcze Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Pojechała więc do Białowieży, znalazła etat w jednym z instytutów naukowych i została tam na całe życie. Ale kochała każdy las górski: świerki, jodły, cisy. Wracała w Bieszczady, miała tu przyjaciela. Patrząc na nią, próbowałam zrozumieć, co tak bardzo ją tu kiedyś porwało, zafascynowało i uwiodło. Dzisiaj rozumiem ją doskonale.

Pisze pani o kobiecej relacji z naturą, a Bieszczady określa jako „kobietę niezależną”.
Skąd ten trop?

Z historii moich bohaterek. Od początku chciałam opowiedzieć o nich z kobiecej perspektywy, ponieważ takiej w książkach o Bieszczadach właściwie nie ma. Trafiłam na publikacje o zakapiorach, wojsku, harcerzach, PRL-u, ale nie o kobietach. A wiedziałam od lat, że mieszkała w nich choćby „szalona Zośka Komedowa”. To jej historia zmotywowała mnie, by przyjrzeć się, jak żyły tam inne kobiety: dlaczego wybrały to miejsce, albo do niego wróciły, dlaczego zostały w Bieszczadach niejako zrzędzeniem losu i jakie te kobiety są. Rozmawiałam z panią, która pamięta przedwojenne Bieszczady i ma ponad 100 lat, przytaczam relacje wielu kobiet. Chciałam pokazać, jak kobiety funkcjonowały w trudnym terenie, w surowym klimacie, z kiepskimi drogami i długimi zimami. Kiedyś i dziś.

W książce wybrzmiewają te trudności życia w górach. Jak wpływały one na pani bohaterki i na pani odbiór ich siły?

Imponują mi najbardziej ich otwartość, elastyczność i gotowość do przemieszczania się, także w dojrzałym wieku. To „kobiety migrujące”, które przeczą stereotypowi, że starzych drzew się nie przesadza. I Komedowa, i Hasiorowa miały wnuki, a Kownacka wychowywała siostrzeńców, ale chciały przeżyć swoje życie po swojemu, mieszkać z daleka od miasta w dzikiej przyrodzie i sprawdzić się w nowym miejscu. Były dzielne, kreatywne, spontaniczne i miały poczucie humoru. Apelowaly, by ze wszystkim co żyje, rośnie, kwitnie, żyć w harmonii. Dziś dużo mówimy o „drugiej połowie życia”, czy „starzeniu się z godnością”, a te kobiety pokazują, jak może wyglądać życie na emeryturze i to jest niezwykle podbudowujące. Miałam ogromną przyjemność, że mogłam odkryć te kobiety, czytać ich zapiski, słuchać ich słów, oglądać ich życie na fotografiach i opowiedzieć ich historie w swojej książce.

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA: LICZY SIĘ BŁYSK W OKU I CHEĆ DO ŻYCIA, A NIE ZMARSZCZKI

Telewizjowicze uwielbiają ją za występy w serialu „M jak miłość”. Dlatego na pewno ucieszy ich, że dołącza teraz do kolejnej produkcji TVP – „Zaraz wracam”. Z tej okazji Małgorzata Pieczyńska opowiada nam, jak udaje się robić aktorską karierę w Polsce i w Szwecji

Patryk Gzyl

Woli pani grać postaci bliskie sobie czy raczej dalekie od siebie?

Pierwszą inspiracją, która zawsze przychodzi, jestem ja sama. To jest łatwiejsze, taki samograj. Nawet kiedy jest do zagrania negatywna postać i pojawia się myśl: „Ja bym przecież tak nie zrobiła”, to zawsze jest przepuszczanie przez siebie. Oczywiście ciekawiej jest grać kogoś, kim się nie jest. Na tym polega aktorstwo kreatywne. Odmienność sposobu mówienia, poruszania się, inna psychika. Niestety: widowia często utożsamia aktora z rolą. Ludzie mają problem z tym, żeby oddzielić aktora od granej przez niego postaci - i to jest kłopotliwe.

Ciekawy jestem jak będzie w przypadku serialu „Zaraz wracam”, do którego dołączyła pani w grudniu. Grana przez panią Krystyna Filar to nie jest pozytywna postać. Telewizja opisuje ją, że „w biznesie i w relacjach jest bezwzględna i nie uznaje kompromisów”. Będzie pani próbowała „bronić” swą bohaterkę?

Tak działa aktorski instynkt. Na pewno będę próbowała zrobić wszystko, żeby ta postać była kolorowa, a nie wyłącznie czarna. Jeżeli jest zła, to niech będzie inteligentna, niech ma poczucie humoru.

Najtrudniejszą relacją Krystyny Filar jest ta z jej synem Janem. W postać tę wciela się Mikołaj Krawczyk. Macie ciekawy materiał do zagrania?

Jak najbardziej. Krystyna traktuje Jana jako partnera biznesowego. Tu kojarzą mi się sceny z mojego własnego domu. Mój mąż jest biznesmenem i czasami kiedy rozmawia z naszym synem Victorem, muszę się wtrącić, przypominając mu: „Gabrys, nie zapominaj, że to nie jest twój partner biznesowy. To, że nie dotrzymał słowa, może go dyskwalifikować jako partnera biznesowego, ale nigdy jako syna”. W stosunku do dziecka uruchamiamy bowiem niekończące się pokłady cierpliwości i wyrozumiałości. Tak jest i w tym serialu. Może i Jan sprawia zawód Krystynie, bo chciałaby mieć super partnera biznesowego, którym on, niestety, nie jest. Nie może jednak być wobec niego radykalna, bo to przecież jej syn. Dlatego fajne będzie, jeśli jej miłość do syna będzie równie wielka jak miłość do interesów.

To bardzo prawdziwa sytuacja, którą znają chyba wszyscy rodzice.

Niestety. Często wyobrażamy sobie nasze dzieci w jakichś rolach i jesteśmy zawiedzeni, kiedy nie spełniają naszych oczekiwań. To jest ogromny błąd wychowawczy. Nie potra-

fimy zaakceptować tego, że są oddzielnymi bytami i mają swoje życie. Nie są na świecie po to, by spełniać nasze oczekiwania. Mój syn jest dla mnie największym nauczycielem tego przedmiotu. Uważam za swój największy sukces, iż wychowałam go na kogoś, kto nadaje samodzielnie sens swojemu życiu każdego dnia. Nie prowadzę go na sztywnym holu wychowawczym, a jednak jestem dumna z jego drogi, zbudował bowiem w Salwadorze sierociniec dla 90 dzieci.

W „Zaraz wracam” oglądamy wielu znanych i lubianych aktorów. Dobrze się gra w takim doborowym towarzystwie?

My się wszyscy oczywiście znamy. Aczkolwiek pracować na jednym planie miałam okazję tylko z Kasią Zielińską. Marcina Kwaśnego i Mikołaja Krawczyka też znam, ale nie pamiętam, żebyśmy gdzieś razem grali. To bardzo miła współpraca: są uważni, patrzą w oczy, mają poczucie humoru. Szczególnie Marcin mnie zaskakuje. Rozumiemy się w locie. No a Violetta Arlak? Ona jest wspaniała, wręcz oczu od niej nie można odebrać. Kiedy pojawia się na ekranie, patrzę na nią jak sroka w gnat. (śmiech)

„Zaraz wracam” to serial obyczajowy, ale z komediowym

zacięciem. Jak się pani czuje w takiej konwencji?

Zawsze grywałam dramatyczne role, jednak bardzo dobrze czuję się również w komedii. Od pewnego czasu występuję z Cezarym Żakiem i Bartkiem Topą w przedstawieniu „Kolacja dla głupca” - i to jest miód na moją duszę. Ten śmiech, który pojawia się na scenie i za kulisami. Granie w lekkich i zabawnych spektaklach czy filmach to ogromny profit tego zawodu, ponieważ przekłada się na naszą pogodę ducha. Dramat jest obciążający, jak śmierć czy choroba, które odbijają się na człowieku. Łżejsza tematyka odkłada się z kolei jak piórko na psychice. Dlatego rozumiem doskonale ludzi, którzy przychodzą na komedię do teatru, bo to dla nich terapia śmiechem. „Ludzie śmieją się! Zapomnijcie przez chwilę o waszych troskach, które przecież i tak was dogonią!” - zachęcam wszystkich.

Mimo tych komediowych akcentów, „Zaraz wracam” to jednak przede wszystkim obyczajowa opowieść.

To prawda. Wydaje mi się, że taka produkcja jest bardzo potrzebna: zwyczajny serial o zwyczajnych ludziach i zwyczajnych ludzkich sprawach. Oglądając polską telewizję, mam wrażenie, że jest bardzo dominowana przez kryminał,

a przez to przez przemoc, zbrodnie, ciemną i brudną stronę ludzkiej natury. Jeżeli nie ma w scenariuszu kurwy i zło-dzieja, to jest mało interesujące. Mało tego: jeśli już nie mamy do czynienia z kryminałem, to i tak z chamstwem: jest dużo przeklinania i prostackiego dialogu. To zdominowało polskie media. Dlatego myślę, że brakuje opowieści o normalnych ludziach, którzy nie są prostakami i nie klną. Nawet jeśli jest taka bohaterka jak moja, która nie jest dobrym człowiekiem, to nie jest chamką. Uważam to za ogromną wartość „Zaraz wracam”. Tym chętniej zgodziłam się wziąć udział w tym serialu.

Co ciekawe akcja tego serialu rozgrywa się na polskiej prowincji. To też oryginalne - a dla pani chyba trochę egzotyczne, bo pani mieszka w Warszawie i w Sztokholmie.

Egzotyczna to jest moja bohaterka: ona przyjeżdża z zagranicy, świetnie się ubiera i jest bardzo bogata. Jawi się więc na tej prowincji niczym rajski ptak. W tym małym miasteczku, gdzie rozgrywa się akcja, odbywają się wybory. Przy okazji realizatorzy pokazują, jak wyglądają ich kulisy: co sprawia, że wybieramy tych, a nie innych. To dotyczy zarówno wielkich, jak i małych miast. To może skłonić widzów do refleksji, jakimi drogami idą ich sympatie polityczne. Czy ich wybory są świadome? Czy łatwo nas zmanipulować? Czy myślimy o dobru wspólnym? Jakie będą konsekwencje dla całej społeczności, jeśli wygra ten, a nie tamten? To ciekawie i fajnie napisane. W bardzo niegłupi sposób jest też wprowadzony wątek genderowy, co pozwala widzom oswajać się również z tą tematyką. Mamy tu również przemoc domową, która nie dzieje się w środowisku patologicznym, gdzie moglibyśmy się jej spodziewać, tylko jakby w „białych rękawiczkach”. Serial ma więc też pewien dydaktyczny rys.

Pani tata był inżynierem, a mama ekonomistką. Jako dziecko uprawiała pani różne sporty. Jak odkryła pani w sobie pociąg do aktorstwa?

Zacząłam myśleć o scenariuszu od razu, gdy tylko nauczyłam się pisać. Niedawno znalazłam na wsi taki gruby zeszyt - scenariusz „Królowny Śnieżki”. I było tam napisane: „Reżyser: Małgosia Maciejewska. Królowna Śnieżka: Małgosia Maciejewska”. Czyli sama sobie pisałam scenariusze, sama siebie reżyserowałam i sama siebie obsadzałam w głównej roli. (śmiech) Wiedziałam więc od początku, że chcę być aktorką. Pamiętam, że mieliśmy w mieszkaniu małą łazienkę i tam naprzeciw umywalki i lustra była gigantyczna pralka Polar. Ponieważ byłam mała, wła-

ziłam na nią, żeby mnie było widać w lustrze - i grałam do tego lustra. Puszczalam wodę do wanny, żeby mnie nie było słychać i śmiałam się, płakałam, mówiłam wiersze. Był to świat nieograniczonej wyobraźni, który mnie od zawsze ciągnął.

Jeszcze będąc studentką zagrała pani w ekranizacji „Wiernej rzeki”. Rola w kostiumowym romansie była spełnieniem młodościowych marzeń?

Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego, do jakiego stopnia jest to wspaniałe przeżycie. Nie doceniałam tego faktu. Wybitna aktorka Aleksandra Śląska zapytała mnie w szkole teatralnej: „Słyszałam, że masz zostać akademicą na rok. Co to będzie?” Wyjaśniłam wtedy, że zagram w „Wiernej rzeki”. „Słuchaj, ekranizacje takich powieści robi się u nas raz na pokolenie. Jeśli widzisz w tym jakąś szansę dla siebie, to się nie zastanawiaj, tylko bierz, bo następnej nigdy nie będzie, albo za 25 lat, a wtedy będziesz już na to zdecydowanie za stara”. Początkowo wcale nie byłam przekonana do tego projektu. Miałam bowiem cudowne zajęcie w szkole, stawiałam więc na teatr, a nie na film. Dopiero ta rozmowa sprawiła, że zmieniłam zdanie.

Komunistyczna cenzura wystraszyła się antyrosyjskich akcentów i zakazała rozpowieszchniania filmu. To było dla pani ciosem?

Właściwie nie, bo nie zdawałam sobie sprawy, co by było, gdyby się stało inaczej. Nie wiedziałam co to znaczy kariera, co to znaczy sukces. Nie było wtedy żadnych nagród za debiut na festiwalu polskich filmów w Gdyni. Kiedy po latach zdjęto „Wierną rzekę” z półki i pokazano w 1987 roku w konkursie, nagrodę dla najlepszej aktorki dostała wybitna i zasłużona Magda Teresa Wójcik za „Matkę Królów” i nie było miejsca na jakiegokolwiek wyróżnienie dla mnie, choć wszyscy mówili, że to piękny film i piękna rola. „Trudno. Nie, to nie” - pomyślałam i dalej robiłam swoje. Nie wiedziałam bowiem, jakie by były konsekwencje, gdybym taką nagrodę dostała. Dopiero teraz mi tego żal, bo wiem co to znaczy satysfakcja z bycia nagrodzoną.

Z wszystkich pani filmów z lat 80. widzowie pokochali chyba najbardziej „Piłkarskiego pokera”, który ciągle jest wznawiany przez różne stacje telewizyjne. Dla pani rola „Łapówki” była też wyjątkowa?

To była kolejna rola u Janusza Zaorskiego. Najpierw wystąpiłam u niego w filmie „Baryton”, który w symboliczny sposób opowiadał o tym, jaką postawę powinien przyjąć artysta wobec totalitaryzmu. Wtedy w Polsce



FOT. MATERIAŁ PRASOWE TVP

Małgorzata Pieczyńska: Granie w lekkich i zabawnych spektaklach czy filmach to ogromny profit tego zawodu, ponieważ przekłada się na naszą pogodę ducha. Dramat jest obciążający, jak śmierć czy choroba, które odbijają się na człowieku

był to bardzo ważny głos. Potem było „Jezioro Bodeńskie” – przepiękna ekranizacja prozy Stanisława Dygata, nagradzana na całym świecie. Dzięki temu filmowi poznałam 40 lat temu mojego męża – przy okazji pokazu w Sztokholmie. Wszystko to były zupełnie różne role. I ta wspomniana „Łapówka” okazała się jeszcze inną. Zaorski miał bowiem wyjątkową wyobraźnię castingową i potrafił zobaczyć tę samą aktorkę w trzech kompletnie innych wcieleniach.

To jednak „Piłkarski poker” okazał się hitem.

Każdy film ma swoją publiczność. „Baryton” i „Jezioro Bodeńskie” to były niszowe i artystyczne produkcje. „Piłkarski poker” został adresowany do masowej publiczności. To niby nie kryminał, ale pokazuje ciemną stronę ludzkiej natury. Takie historie zawsze przyciągają szeroką widownię.

W drugiej połowie lat 80. znalazła pani miłość w Szwecji i przeprowadziła się do Sztokholmu. To wtedy był inny świat niż szary PRL. Jak się pani tam odnalazła?

Przed zmianą polityczną w 1989 roku, a nawet jeszcze przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku, to była przepaść pod każdym względem. Standardu życia, estetyki ubrań, mieszkań, ludzi, stosunku

do przyrody. W Szwecji miałam zdrową wodę pitną w kranie, a w Polsce w tym czasie nosiło się w omszałych kanistrach czystą wodę z jakichś podziemnych źródełek, ponieważ woda z kranu śmierdziała zgniłymi jajami i nie można było z niej herbaty zrobić. To był więc dla mnie szok kulturowy. Teraz to się wyrównało, czego ludzie w Polsce, niestety, nie doceniają. Mówią, że mamy „kraj w ruinie”. Kraj w ruinie to był przed tymi wielkimi przemianami. Teraz to wspaniały kraj, tylko jest opluwany dla politycznych korzyści. I to jedynie różni Szwecję od Polski – stosunek do instytucji państwowych. Tam jest do nich wielki szacunek, a u nas przeciwnie – zupełny jego brak.

Niemal od razu postanowiła pani grać w Szwecji, nie znając języka. I udało się. Jak to było możliwe?

Po prostu wygrałam casting do pierwszej mojej szwedzkiej produkcji – wysokobudżetowego serialu „Płaczący minister”. Nie znałam wtedy języka szwedzkiego, nauczyłam się więc swych kwestii na pamięć. Sąsiadka nagrała, mąż przetłumaczył, a ja wykułam na blachę i wygrałam zdjęcia próbne. Poszło mi tak dobrze, że zagrałam postać będącą rodzoną siostrą postaci granej przez rodowitą Szwedkę. Gdy weszliśmy na plan, zrozumiałam, że jestem wśród szwedzkiej elity

aktorskiej. Ja ich nie znałam, kojarzyłam oczywiście aktorów z filmów Bergmana, ale to były inne nazwiska. Wtedy nie było internetu, więc musiałam dopytać i okazało się, że są to same szwedzkie Englerty, Jandy i Zapasiewiczze. (Śmiech) Trafiłam więc jak sliwka w kompot. „Płaczący minister” bardzo się spodobał, zdobył wiele nagród – posypały się następne propozycje. W tym i z teatru w Sztokholmie. I to właśnie zagranie po szwedzku trzynastozłotkowcem głównej roli wśród tamtejszych wielkich gwiazd w prestiżowym spektaklu uważam za swój największy zawodowy sukces. Poza tym, że wychodziłam na scenę i pracowałam z reżyserem, miałam wtedy swoją korepetytorkę, z którą szlifowałam artykulację, wyprawę i interpretację. To było wielkie przeżycie, które bardzo sobie cenię.

Podobno w Szwecji grywa pani głównie czarne charaktery. To prawda?

Owszem – grałam kilka razy ostre i wyraziste charaktery, jakąs szefową mafii, to rosyjskiej, to bałkańskiej. Tak było choćby w serialu „Zanim umrzemy”, który zdobył nagrodę jako najlepszy szwedzki serial kryminalny. To nie było coś w stylu „zabili go i uciekli”, tylko historia mafijna z pogłębionymi portretami psychologicznymi bohaterów. Produkcja ta bardzo mocno zapisała

się w świadomości Szwedów. Często zdarza mi się, że zaczepiają mnie na ulicy i pytają czy to ja grałam tę „padro padrone” w kobiecej wersji. Kultowym serialem jest też „Johan Falk” – z tym że to bardzo męska produkcja, dużo się tam dzieje, są liczne bijatki i pościgi. Tym razem grałam tam po rosyjsku. „Johana Falka” też kocha cała Szwecja.

Mimo tych sukcesów nie zrezygnowała pani jednak z pracy w Polsce. Dlaczego?

Ze względu na komfort posługiwania się językiem ojczystym. Umożliwia on improwizację, którą ma się bardzo ograniczoną, grając w obcym języku. Ktoś, kto nie próbował, nie zdaje sobie z tego sprawy. Ja wiem to na pewno. Szwedzi są bardzo biegli w angielskim, to właściwie ich drugi język. I kiedyś miałam okazję grać po angielsku w jakiejś produkcji. Wszyscy mieli ze mną dialogować w tym języku. Przygotowałam się bardzo sumiennie, po prostu wbiłam wszystkie kwestie na swój twardy dysk. I kiedy weszliśmy na plan, okazało się, że moi znakomici szwedzcy koledzy nagle mylą się i gubią w swych angielskich kwestiach. Dlaczego? Bo zbagatelizowali trudność grania w obcym języku. Wydawało się im to bardzo proste, ale kiedy ruszyła kamera i pojawiły się emocje, nagle się wysypali. Okazało się, że trzeba było się lepiej

przygotować. (Śmiech) Granie w ojczystym języku jest nieporównywalnie łatwiejsze i przyjemniejsze. Kiedy czasem na planie czy na scenie mój partner się pomylił, to potrafię tak zaimprovizować odpowiedź, żeby naprowadzić go z powrotem na temat. W obcym języku coś takiego jest prawie niemożliwe.

W tym pani współczesnym polskim dorobku wyjątkowe miejsce zajmuje na pewno „M jak miłość”. Gra pani w tym serialu już 12 lat. Za co pani go sobie ceni?

Po pierwsze za to, że jest tak bardzo lubiany przez publiczność. To wielka wartość. Bo to jest po prostu moja publiczność. Po drugie, gram tam z wyjątkowo fajnymi, młodymi ludźmi. Młodość aktorska – Ilona Janyst, Ada Kalska, Michalina Sosna, Mikołaj Roznerski, Maurycy Popiel – to wszystko wspaniałe osoby. Mam ze spotkań z nimi wielką frajdę, zarówno prywatnie, jak i przed kamerą. Po prostu kolegujemy się. To bardzo życzliwi, inteligentni i z poczuciem humoru młodzi ludzie. Poza tym z zaskowaniem patrzę na zaangażowanie całej ekipy „M jak miłość”. Podziwiam ją za to, jak stara się trzymać jakość i jak wszystkim zależy.

Media ciągle się zachwycają pani urodą i formą. To zasługa jogi, którą uprawia pani od 20 lat?

Myślę, że tak. To codzienna praktyka, która ma ogromne znaczenie. Joga to przede wszystkim ćwiczenia fizyczne, ale także ścieżka ogólnego rozwoju, która się przekłada na całą higienę życia, łącznie z jedzeniem, stosunkiem do siebie, do innych ludzi i do świata. Jest niezwykle ważna.

Kiedyś powiedziała pani: „Przemijania się nie boję. Każdy wiek ma swój urok”. Jak się wypracowuje taką mądrą postawę?

Higienicznym życiem: tym, że się dba o siebie każdego dnia, że się ćwiczy, że się nie je śmieci, że się nie robi dewastujących siebie głupot w rodzaju nachalnego przyjmowania różnych toksyn. To również jest praca – chociażby relacje osobiste. Jeśli ma się udane życie prywatne, szczęście w małżeństwie i fajne dziecko, które żyje tak, że patrzymy na nie z radością – to wtedy mamy wewnętrzną i zewnętrzną dobrą emanację. I to widać. Te zmarszczki przychodzą tak czy siak, choć uważam, że można żyć tak, aby te oznaki starzenia jakoś spowalniać. Tak naprawdę jednak liczy się błysk w oku i chęć do życia. Jeśli tego nie ma, to choćby nie wiem jak będziemy zadbani i wycudowani, to będzie widać po nas rodzinny dramat, nieudane małżeństwo czy chorobę. Nie chcę się jednak tu wymądrzać, że liczy się tylko gimnastyka i dobre odżywianie. Bo są różne okoliczności życiowe i byłoby to niesprawiedliwe wobec innych tak mówić: „Zaczynajcie ćwiczyć, to będziecie szczęśliwi i będziecie pięknie wyglądali”. Życie nie jest sprawiedliwe i nie rozkłada po równo. Trzeba więc czasem próbować się z nim i wydrapać co swoje. No i po prostu mieć trochę szczęścia.

Nie zamierza pani wrócić w przyszłości na stałe do Polski?

Ja bym chętnie wróciła i zamieszkała w Polsce na stałe, ale mąż nie chce. Po ostatnich wyborach powiedział, że nie chce mieszkać w kraju, w którym 6 procent wyborców głosuje na kogoś takiego, jak Grzegorz Braun. Kogoś, kto sieje nienawiść, jest antysemitą i neguje holokaust. Dla mnie to też jest przerażające i nawet się mężowi nie dziwię. Ciężko jest tęsknić do kraju, w którym po klasach zdobywa ksenofobia, homofobia i antysemityzm. Nie możemy jednak walkowerem oddawać pola tego rodzaju politykom. Jest przecież mnóstwo osób, szukających wiedzy o świecie w sprawdzonych źródłach, którym na sercu leży dobro Polski. Ja staram się z uśmiechem wchodzić w każdy dzień, robić swoje, jak najlepiej potrafię i otaczać się mądrymi i dobrymi ludźmi.

NA TROPIE POMORSKICH SKARBÓW

Inspiruje ich Indiana Jones – archeolog i poszukiwacz przygód.
Tę postać z ekranów kinowych znają doskonale łowcy skarbów zrzeszeni
w Sławieńskim Stowarzyszeniu Eksploracyjnym

Tomasz Turczyn

Poszukiwacze skarbów ze Sławna, podobnie jak filmowy Indiana Jones, mają swoje atrybuty w postaci wykrywaczy metalu i łopatek saperek. Tym sprzętem starają się wydzierać ziemi jej skarby. Zrzeszyli się rok temu w Sławieńskim Stowarzyszeniu Eksploracyjnym.

- Nasza działalność jest legalna. Aktualnie penetrujemy cztery miejsca, na które zgodę mamy od wojewódzkiego konserwatora zabytków i Nadleśnictwa Sławno – podkreśla Michał Oseseć, jeden z pasjonatów ze Sławna. - Chodzimy tam od czasu do czasu i zawsze coś się trafi, co ucieszy nasze oczy.

Ich zasięg – Pomorze

Inspiruje ich historia Pomorza, którą regularnie zgłębiają. To tutaj wyszukują miejsc, które warto odwiedzić. Starają się docierać do starych dokumentów i map. Interesują ich szlaki, które przemierzały wojska w różnych okresach: od Napoleona do II wojny światowej. Już mogą się pochwalić ciekawymi odkryciami.

Na przykład wydarli z ziemi monetę z 1924 roku z wizerunkiem kłosów, z okresu Republiki Weimarskiej (Rentmarka). Wykonana jest z brązu i aluminium. Na rewersie ma napis: „Deutsches Reich, Rentenpfennig 5”. Kolejna moneta pochodzi z 1921 roku: to Rzesza Niemiecka – Weimar – 50 fenigów – pakiet kłosów – aluminium.

- Ciekawostką jest też płyta nagrobkowa Marthy v. Zitzewitz urodzonej w 1866 roku, która pochodziła ze starego szlacheckiego rodu pomorskiego o pierwotnym nazwisku Sycewic, wywodzącym się od wsi Sycewice. To miejscowość niedaleko Słupska przy krajowej drodze numer 6 – opisuje Michał Oseseć. - Każdy, kto jedzie tą drogą, natyka się na nią, ale nie każdy wie, gdzie znajduje się płyta nagrobna. Jej lokalizacji nie zdradzamy, powiem tylko, że nie jest tam łatwo trafić.

Płyta została na miejscu, a stowarzyszenie uwieczniło ją na zdjęciach i czyni starania, aby została ona fachowo zabezpieczona oraz wyeksponowana w którymś z okolicznych muzeów.

Z historii wiadomo, że na początku XV wieku ród Zitzewitz podzielił się na trzy



Członkowie stowarzyszenia są miłośnikami lokalnej historii i ją propagują



Tablica nagrobkowa Marthy v. Zitzewitz

główne linie: pierwszą z Motarzyna, Budowa, Dobieszewa i Gogolewa, drugą z Podola, Sycewic i Krzyni oraz trzecią z Janiewic, Warcina i Biesowic w okręgu sławieńskim. W XVI wieku członkowie rodu pełnili rozmaite funkcje ziemskie i dworskie. W 1608 roku dwaj bracia von Zitzewitz otrzymali potwierdzenie lenna na ponad 40 wsi w ziemiach słupskiej i sławieńskiej.

- Ze Sławieńskim Stowarzyszeniem Eksploracyjnym współpracuję od 2024 roku. To dla mnie naturalne przedłużenie pasji do historii ziemi sławieńskiej, połączenie pracy archiwalnej z żywą eksploracją terenu – mówi Bartosz Żyłuk,

pasjonat historii Pomorza, z zawodu radca prawny. - Wspólnie z członkami stowarzyszenia analizuję znaleziska, konteksty topograficzne oraz dawne mapy i dokumenty, aby lepiej zrozumieć historię naszego regionu. Jednym z przykładów takiej współpracy była identyfikacja słoiczka znalezione w okolicach wsi Pomiłowo w gminie Sławno na terenie powiatu sławieńskiego. Dzięki połączeniu materiału terenowego z kwerendą archiwalną udało nam się ustalić jego związek z przedwojenną Adler-Apotheke Hermanna Müllera w Sławnie. Takich spraw jest znacznie więcej – często wspieram stowarzyszenie interpreta-

cjami dawnych nazw miejscowych, rekonstrukcją przebiegu historycznych dróg czy analizą źródeł pisanych. Biorę udział w części działań terenowych, ale przede wszystkim pomagam merytorycznie: przygotowuję analizy, wyjaśnienia, komentarze historyczne i powiązania z dawnymi źródłami. Członkowie stowarzyszenia wykonują ogrom pracy fizycznej w terenie, ja staram się dołożyć do tego precyzję archiwisty i regionalisty, tak by każde odkrycie miało możliwie pełny kontekst historyczny – akcentuje Bartosz Żyłuk.

100 godzin kopania w ziemi

- Przez rok udało się zorganizować kilkadziesiąt wyjść w teren, blisko 100 godzin poszukiwań i kopania w ziemi, poszukiwań detektorem, wyjść eksploracyjnych. Wydobyliśmy około 150 przedmiotów, a także setki kilogramów śmieci, złomu. W ten sposób oczyszczamy różne miejsce z niepotrzebnych odpadów. Trzy nasze znaleziska zostały zgłoszone jako potencjalne zabytki. Stowarzyszenie w roku 2024 zakładało pięć osób, obecnie jest nas 13. Stworzyliśmy nasz wewnętrzny rejestr znalezisk, do czego zobowiązują nas także przepisy prawa – wymienia Michał Oseseć.

sek. - Każdy przedmiot znaleziony podczas poszukiwań to dla nas kawałek jakiejś historii, którą staramy się wydobyć i pokazać. Ustalić daty, personalia itd. Zgodnie z naszym regulaminem o odnalezionych przedmiotach chcemy informować opinię publiczną. Zabiegamy i poszukujemy miejsca na wyeksponowanie ich.

Poszukiwacze poszukują lokalu

- Poszukujemy lokalu, gdzie umieścimy wszystkie znaleziska wraz z opisami, aby każdy zainteresowany historią Sławna i okolic mógł je zobaczyć – kontynuuje Michał Oseseć. - To jeden z głównych celów naszej działalności. Osoby chętne do pomocy w zorganizowaniu takiego miejsca dla nas prosimy o kontakt. To dla nas priorytet, a na razie temat nie do pokonania. Z drugiej strony jesteśmy dumni z pierwszego wydarzenia, które zorganizowaliśmy w Sławnie na placu kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie reklamowaliśmy nasze stowarzyszenie i prezentowaliśmy nasze znaleziska. Finałem było sprzątanie rzek w Sławnie i udało się je oczyścić ze sporej ilości złomu.

- Stowarzyszenie wystąpiło do nas o zgodę na poszukiwania. Przedłużamy im tę zgodę, którą mają na kolejny rok na wybrane miejsca w powiecie sławieńskim – mówi Tadeusz Lewandowski, nadleśniczy Nadleśnictwa Sławno. - O efekcie ich pracy przekonam się niedługo, bo na koniec roku mają złożyć sprawozdanie. Śledzę doniesienia prasowe o ich działaniach i rzeczywiście znajdują sporo drobnych rzeczy, przedmiotów, fajnych ciekawostek.

Jakie mają plany?

- Chcemy zakupić i zbieramy fundusze na namiot wystawowy z logo stowarzyszenia (korzystamy z pożyczonego) – odpowiada Michał Oseseć. - Planujemy kolejną akcję

sprzątania rzek w roku 2026. Pojawiają się nowe miejsca na poszukiwania. Jedno z nich może okazać się ewenementem na skalę nie tylko Polski. Chcemy zmontować w tym celu grupę złożoną m.in. z archeologa, nurka, firmy obsługującej georadar. Jeśli się nam uda, będzie to przedsięwzięcie, o którym na pewno będzie się głośno mówiło. Tyle na razie mogę zdradzić.

Nasz rozmówca podkreśla, że kluczem w takich akcjach jest dokładne planowanie oraz wiedza historyczna. - Oczywiście zawsze może zdarzyć się coś zaskakującego – mówi. - Praca z wykrywaczem metalu nie jest łatwa, ale z każdą wyprawą się jej uczymy, nabywamy doświadczenia. Nie zamykamy się w swoim gronie, zapraszamy do współpracy z nami. Można nas znaleźć na Facebooku po wpisaniu nazwy Sławieńskie Stowarzyszenie Eksploracyjne.

Warto wiedzieć

W Polsce można legalnie kupić wykrywacz metalu i go posiadać. To wydatek – dla początkujących poszukiwaczy – około tysiąca zł. Do tego należy mieć na wyposażeniu metalowe sitko-łopatkę, które ułatwia poszukiwania na przykład na plaży. To wydatek rzędu kolejnych 150 zł. Zestaw można uzupełnić saperką (około 100 zł) i słuchawkami (za około 150 zł), które zakładamy, wsłuchując się w dźwięki wykrywacza. Dokładne zlokalizowanie znaleziska ułatwia także mały, podręczny wykrywacz metalu, który można nabyć już za 100 zł. Oczywiście można skompletować droższy zestaw. Warto też pamiętać, że używanie wykrywacza metalu do poszukiwania zabytków jest regulowane prawem i wymaga zezwoleń od wojewódzkiego konserwatora zabytków. Bez pozwolenia można szukać rzeczy współczesnych na plażach i kąpieliskach.

©P

KIM SĄ

Sławieńskie Stowarzyszenie Eksploracyjne to grupa hobbystów, pasjonatów związanych z poszukiwaniami i eksploracją. Działając zgodnie z prawem i obowiązującymi przepisami, szukają lokalnych i krajowych śladów historycznych. W skład SSE wchodzi 13 osób. Stowarzyszenie zaprasza do współpracy: telefon kontaktowy 609 410 513.

FASCYNUJĄCA I ODLEGŁA SYBERIA JACKA PAŁKIEWICZA

Właśnie wyszło uaktualnione wydanie „Syberii”, które przewodnik „500 polskich książek, które warto w życiu przeczytać” zaliczył do tych pozycji, które z różnych powodów wypada znać

Krzysztof Dudek



Dramatyczny moment wyprawy Jacka Pałkiewicza na biegun zimna w Jakucji

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Kiedy neocar Rosji rozpętał wojnę na Ukrainie, przez głowę przeszła mi myśl: ‘Biedny Pałkiewicz, ciekawe, co teraz powie o swoich rosyjskich przyjaciółach? Czy nadal będzie politycznym daltonistą. Przecież będzie musiał lawirować. Twierdzili tu i ówdzie, że jest na usługach sowieckich służb, bo to przecież niemożliwe, żeby Rosja otwierała bramy i prowadziła interesy z ludźmi niesprawdzonymi. Osobiście nigdy nie wierzyłem w agenturalne powiązania utytułowanego eksploratora. Zresztą wiedziałem, że służby weryfikowały jego lojalność poddając wzbudzącym powszechną bojaźń, stresującym badaniom wariografem. I to dwa razy, aby mieć pewność, że nie skłamał’ Tak napisał znakomity pisarz Jan Grzegorzcyk nawiązując do wznowionego, ósmego już wydania „Syberii” autorstwa Jacka Pałkiewicza.

„Bez dwóch zdań. W łeb wzięła filozofia budowania mostów między Polakami i Rosjanami - przyznaje. Zawiodłem się, dlatego moja noga nigdy już tam nie postanie”. Ambasador Polski na wszystkich kontynentach nie skorzysta teraz z glejtu od Eduarda Szewarnadzego, którego gościł w swoim włoskim domu, który umożliwił mu swobodne poruszanie się po całym imperium bez nadzoru KGB.

Nim w skrajnie wrogich warunkach, zdobył światowy biegun zimna, gdzie temperatura spadła do -72 stopni, na fali pierestrojki zjednał już sobie dla sprawy rosyjskich polityków, dziennikarzy, kosmonautów.

Nie bał się występować w rosyjskich mediach, choć nigdy wcześniej nie był w Rosji. Rosjanie zobaczyli, że to swój człowiek. W jakiś sposób im bliski. I tak Pałkiewicz, który miał już dwie dusze, polską i włoską - dorobił jeszcze sobie solidny kawałek duszy rosyjskiej.

W rządzie PiS-u nie był mile widziany. Szymon Szyrkowski vel Sęk, sekretarz Stanu ds. dyplomacji publicznej i kulturalnej, stropował jego objęty patronatem UNESCO „Nowy Jedwabny Szlak 2018” - doniosły projekt zakładający działania promujące rozpoznawalność naszego kraju.

Zaś Antoni Macierewicz brał na spytki jego wydawcę: „Dlaczego pan publikuje

książki Pałkiewicza?”. „Bo się dobrze sprzedają” - usłyszał.

Z „bankructwa” wartości moralnych, budowy dobrych relacji z ludźmi, narodził się nowy Pałkiewicz. Krótko po inwazji na Ukrainę nie miał wątpliwości aby wyrugować ze swojego życia Rosję i jej obywateli. I tak, jak przykładał rękę do budowania zgody pomiędzy Polakami i Rosjanami, tak teraz obstawał za surowymi sankcjami na Federację Rosyjską. Opublikował w „Rzecz” Apel do przyjaciół Rosjan, w którym wezwał ich do odcięcia się od barbarzyńskiej agresji na Ukrainie. Najwyraźniej chciał wierzyć, że wśród jego znajomych po drugiej stronie są wrażliwe umysły, które mają jakiś mniej czy bardziej realny wpływ na społeczeństwo. Ze zgroza uświadomił, że duża ich część nie zamierza wstydzić się za swój kraj. W postscriptum pod tekstem napisał, że zrzeka się członkostwa w Rosyjskim To-

warzystwie Geograficznym, którego prezesem jest Sergiej Szojgu, z którym był nadto na „ty”.

Stracił wtedy rozlicznych kamratów Moskali. Zażyły przyjaciel, filmowiec Oleg Alijew nazwał go lajdakiem. Zaś znana aktorka Alła Panowa dorzuciła, że atakując tych, którzy wyrażali mu tyle uwagi, okazał się nędznym indywiduum. W kolejnych publikacjach zaszarżował, jeszcze bardziej wyostrowając swoje tezy. Domagał się zamknięcia granic wolnego świata dla wszystkich Rosjan, bo nie może być tak, że krajanie tych którzy dokonali zbrojnej inwazji na sąsiedni kraj, imprezują na Łazurowym Wybrzeżu. „Najgorsze jest jednak to, - pisał, - że lwia część Ruskich popiera infernalna nawałnica wojenna wynaturzonego gospodarza Kremla i wciąż bije czołem pokłony skorumpowanej władzy akceptując jej arogancję. Bez rozliczenia się

i uznania winy narodowej niemożliwe jest ułożenie się z tym narodem. Jego bierność legitymizuje okrucieństwa agresora. Całe społeczeństwo musi przyznać się do winy i zebrać o wybaczenie. Dopiero wówczas będzie mogło liczyć na otwarcie się Zachodu. Po tym wszystkim, jeszcze wczorajszy kumpel ambasadora Siergiej Andriejew, wystąpił dla niego do Moskwy o status osoby non grata.

Trzeba podkreślić, że Pałkiewicz nie jest wcale bojownikiem „sprawy ukraińskiej”, bo trudno mu przejść do porządku dziennego nad rzezią UPA na Wołyniu i brakiem skruchy ideowych spadkobierców tej hekatombi. Uważa, że na tym tle haniebnie wyglądała postawa polskich elit z niebiesko-żółtą wstążką w kłapie marynarki.

Za brak lojalności i plucie w twarz, odpłacały się dożgonnym, przekraczającym wszelkie granice serwilizmem,

bijąc Kijowowi czołem pokłony.

Pałkiewicz zamknął sobie bramy do Rosji, o których tak bardzo niegdyś zabiegał. Na szczęście jest ta książka, dzięki której Syberia pozostanie dla nas i dla Autora wciąż otwarta. Publikacja bogata jest w bezmierną ilość wątków.

Wśród chlubnych polskich kart w dziejach badania i odkrywania zauralskich widniewie bezlik wielkich badaczy, którzy z konieczności oddali serca i umysły przybranej ojczyźnie. Na uwagę zasłużyli Benedykt Dybowski, Jan Czerski, Aleksander Czekanowski, Wacław Sieroszewski, Edward Piekarski, Bronisław Grabczewski, Wiktor Godlewski, Karol Bohdanowicz, Bronisław Giniet-Piłsudski, Leon Barszczewski i jeszcze wielu, wielu innych. Odnajdując w sobie żyłkę odkrywcy, pracowali w prymitywnych, wymagających nieprzeciętnego hartu ducha warunkach. Od-

cięci od warsztatu naukowego, zmagając się z przeciwnościami surowej natury, nie mówiąc o braku funduszy, wykazali w swojej niezmordowanej aktywności zdumiewający wysiłek pionierski. Ongiś kierując Narodowym Centrum Kultury, miałem przyjemność wspierać koncepcję niezmordowanego globtrotera odświeżającą chlubne polskie karty historii.

W 1989 roku Pałkiewicz dotarł na biegun zimna w reniforowym konwoju. Wspomina, że dotknęli last frontier, ostatniej granicy, poznali nieuchwytny majestat i urok nieskalanej przyrody, a także srogi, niegościnnie klimat, słowem krainę, w której cywilizacja jest odległym wspomnieniem. A mediolański „Corriere della Sera” odnotował, że ta odyseja odegrała niebłaha rolę w ociepleniu relacji Wschód-Zachód w burzliwym okresie pierestrojki, punkcie zwrotnym w historii XX wieku.

W pięć lat później, w trosce o przyszłość naszej planety, kierował międzynarodową misją ekologiczną kosmonautów pod patronatem prezydenta Borysa Jelcyna przeciwko destrukcji środowiska przyrody. Niestety, ta ambitna ekspedycja napełniła go gorzkimi refleksjami: „To mnie przerosło, nie mogłem wygrać z systemem monstrualnego lobby kontrolującego światową gospodarkę, którego celem jest wyłącznie spotęgowanie bogactwa”.

Naoczny świadek agonii radzieckiego imperium, okazał się baczny i wnikliwy obserwatorem kapitalizmu w wydaniu rosyjskim i jego skutków: bezprawia, korupcji i agresji.

Atrakcyjnie wydana książka zawiera ponad 400 przykuwających wzrok fotografii.

KSIAŻKA

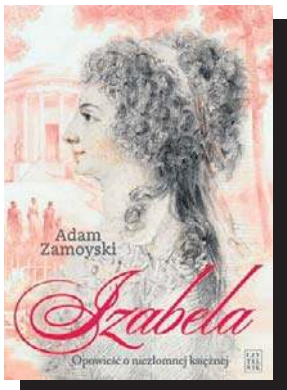


Jacek Pałkiewicz, „Syberia”, Wydawnictwo: Świat Książki, Warszawa 2023



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Mariusz Grabowski



Budująco-gorsząca garweda o księżnej Izabeli

Gdy jedna z córek leciwej już księżnej Izabeli z Flemingów Czartoryskiej (1745-1835), Maria Wirtemberska, chciała skłonić ją do spowiedzi, usłyszała: „Moja Marysiu, gdy powiem księdzu wszystko, com w życiu dokazywała, nie uwierzy i będzie myślał, że kłamię”.

Ta anegdota nie do końca musi być prawdziwa, ale dobrze charakteryzuje bohaterkę tomu autorstwa Adama Zamoyskiego, wydanego właśnie w Czytelniku. Zamoyski – jak opowiada – od dziecka znał prapraprababkę ze sztychów wiszących na ścianach londyńskiego mieszkania, ale dopiero zanurzwszy się w archiwum odkrył niezwykłą osobowość tej dzielnej kobiety.

Czytając „Izabelę” ma się wrażenie, że na CV bohaterki złożyło się przynajmniej kilkanaście barwnych życiorysów. Była wprawdzie panną dobrze urodzoną, ale nieśmiałą i – co tu dużo gadać – niezbyt urodziwą. Gdy jako 15-latkę wychodziła za mąż za księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, była chuda, ospowata i niemal łysa. Książę Adam był jej przeciwieństwem: elegancki, piękny, a na dodatek elokwentny i wykształcony.

Z czasem z niezbyt pięknej dziewczyny Izabela stała się jedną z najciekawszych postaci epoki. (Julian Niemcewicz zauważył, że nawet ślady po ospie, które inne kobiety szpeciły, księżnej dodawały uroku). Stała się damą, w której kochali się i rosyjski ambasador, i francuski książę, która wzbudzała fascynację monarchów, takich jak Fryderyk Wielki, cesarz Józef II i car Aleksander I.

W rezydencji Czartoryskich w Puławach Izabela stworzyła ośrodek życia kulturalnego i patriotycznego. Angażowała się w politykę, działając za kulisami Sejmu Czteroletniego. Poza tym była matką trzech córek i dwóch synów, których wychowywała według powstępowych idei swojej epoki.

W Puławach znajduje się mnóstwo wizreunków Stanisława Poniatowskiego, na wpół oficjalnego kochanka Izabeli. Kolejna anegdota, też niekoniecznie wiarygodna, podaje, że książę Adam nie był zazdrosny – sam odwoził żonę do zamku i zostawiał u kornowanego kochanka, po czym jechał do własnej łubej. Owocem spotkań Izabeli z królem była córka Maria. Chociaż książę Adam uznał dziewczynkę za swoją, zdradzał ją spory nos Poniatowskich i dlatego powszechnie zwano ją „Ciolkówną”.

Adam Zamoyski, „Izabela. Opowieść o niezłomnej księżnej”, wyd. Czytelnik, Warszawa 2025, cena 70 zł



O komunistycznych poputczikach

Historyk Thierry Wolton zalicza do nich m.in. intelektualistów, którzy uwiedli masy swoimi teoriami, i zachodnich przywódców i kapitalistów wspierających socjalizm.

Thierry Wolton, „Historia komunizmu na świecie. Współsprawcy”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 159,90 zł



Abp Marcel Lefebvre i jego spuścizna

Pierwsza książka po polsku o abp. Marcelu Lefebvre. Jej bohatera okrzyknięto „schizmatykiem”, ale dla coraz większej grupy katolików to bohater i ojciec, dzięki któremu odkryli tradycję katolicką. Ewa Polak-Palkiewicz, „Ekscelencja jest szalony”, wyd. Fronda, Warszawa 2025, cena 89 zł



Stanisław Lem żegna komunizm

Wydana w 1955 r. powieść maluje wizję przyszłości, w której ludzie przezwyciężyli dawne podziały klasowe i zbudowali komunizm. Ale czy na pewno to remedium na ludzki los?

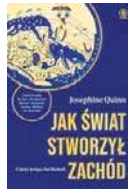
Stanisław Lem, „Obłok Magellana”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 59,90 zł



Żyjąc w Chmielu koło Lutowisk

Anna Kamińska kreśli portrety kobiet związanych z Bieszczadami: Zofii Komedowej, Marii Kownackiej, Joanny Hasiorowej, żony słynnego rzeźbiarza, a także Simony Kossak.

Anna Kamińska, „Nie dopytuj się. Historie z Bieszczadów”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 59,90 zł



Cztery tysiące lat historii w jednym tomie

Fundamentem Zachodu są idee i wartości zrodzone w Grecji i Rzymie, które „zaniknęły” w średniowieczu i zostały „odkryte” na nowo w renesansie. A jeśli to tylko część prawdy? Josephine Quinn, „Jak świat stworzył Zachód”, wyd. Rebis, Poznań 2025, cena 119 zł



Od socjalizmu po rząd polskich dusz

Józef Piłsudski, mistrz autokracji, świadomie dbał o swoją legendę, która z czasem zaczęła żyć niejako własnym życiem, wymykając się obiektywnej ocenie.

Mariusz Wołos, „Józef Piłsudski. Rzecz o nieprzeciętności”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 119,90 zł



Intelktualista składający wiersze

Krótkie rymowanki o Arystotelesie, Kartezjuszu i Marksie oraz odpowiednie doń rysunki – okazuje się, że nawet w takich formach Umberto Eco okazuje się dla wielu autorytetem.

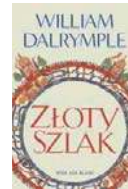
Umberto Eco, „Rozważania niepoważne”, wyd. Noir Sur Blanc, Warszawa 2025, 45 zł



Patrzę na ręce egzorcystom

Opisując przypadki manipulacji, przemocy psychicznej i fizycznej, które towarzyszą egzorcyzmowi, Szymon Piegza stawia pytania o odpowiedzialność instytucjonalną za te zjawiska.

Szymon Piegza, „Mieli nas za opętanych. Historie nadużyć egzorcystów”, wyd. Znak, Kraków, cena 54,99 zł



Porozmawiajmy o Indiach i ich kulturze

Przez wieki, od ok. 250 roku p.n.e. do 1200 r. n.e., Indie tworzyły nieformalne imperium, którego siłą nie były podboje militarne, lecz niepowstrzymana wymiana myśli i kulturowa ekspansja. William Dalrymple, „Złoty Szlak”, wyd. Noir Sur Blanc, Warszawa 2025, cena 99 zł



„Pisać? A cóż to za dziwny pomysł!”

Na tę biografię – pióra wieloletniej przyjaciółki Kunderów – złożyły się fragmenty tekstów i rozmów, wspomnienia, dziennik podróży do Czech i na Morawy, a także liczne fotografie. Florence Noiville, „Milan Kundera. Biografia”, wyd. W.A.B., Warszawa 2025, cena 69,90 zł



„Jak nie zapiszesz, to nie istnieje”

Albert Camus prowadził swe notatniki w latach 1935-1959. Ale to nie jest zwykły zbiór luźnych zapisków na ponad 700 stronach, lecz starannie prowadzony dziennik intelektualnej walki ze światem. Albert Camus, „Notatniki”, wyd. PIW, Warszawa 2025, cena 79 zł



Głos mają ofiary rewolucji lat 90.

Reportaż Marty Madejskiej dowodzący, że za wielkimi procesami – a takim była na pewno transformacja ustrojowa w Polsce po 1989 roku – kryją się osobiste dramaty, utracone nadzieje i znikające światy. Marta Madejska, „Ostatni gasi światło”, wyd. Czarne, Wołowiec 2025, cena 69,90 zł



Twarze III Rzeszy w świetle reflektorów

Od Josepha Goebbelsa i Heinricha Himmlera po tych, którzy stali z tyłu: Juliusa Streichera i Leni Riefenstahl. Studium środowiska, które umożliwiło narodziny i funkcjonowanie nazizmu. Richard J. Evans, „Ludzie Hitlera”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 119,90 zł



Cybulskiego zmagania z własnym mitem

Dorota Karaś przygląda się powikłanemu życiu Zbigniewa Cybulskiego i jako pierwsza opisuje jego dzieciństwo, o którym on sam nie mógł mówić w powojennej Polsce.

Dorota Karaś, „Cybulski. Podwójne salto”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 69,90 zł



Victor Hugo skomiksowany

Powieść Victora Hugo z 1866 roku, teraz w formie komiksu, opowiada o wydarzeniach po katastrofie nowoczesnej łodzi parowej, która rozbija się o skały w rejonie Dover. Victor Hugo, Michel Durand, „Pracownicy morza”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 129,99 zł



Architektura, którą nikt się nie chwali

„Świątynia i śmietnik” prowadzi nas przez labirynt codziennych przestrzeni, które definiują nasze miasta i miasteczka: toalety publiczne, żłobki, przedszkola, ośrodki dla seniorów i mieszkania komunalne. Grzegorz Piątek, „Świątynia i śmietnik”, wyd. W.A.B., Warszawa 2025, cena 69,99 zł

ŚWIĄTECZNE GWIAZDECZKI. Zobaczcie wyjątkowe uśmiechy, które wprowadzają w magię świąt i wspierajcie swoich faworytów!

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

Przed nami Mikołajki - dzień pełen magii, radości i niespodzianek, który rozświetla zimowy czas wyjątkowym blaskiem. To właśnie w tak niezwyklej atmosferze prezentujemy Państwu Świąteczne Gwiazdeczki.

Wśród migoczących światełek, zapachu cynamonu i pierwszych prezentów pojawiają się Oni: mali bohaterowie świątecznego nastroju. To idealny moment, by wspólnie odkryć wyjątkowe dziecięce Gwiazdeczki, które już teraz podbijają serca naszych Czytelników i wprowadzają nas w najpiękniejszy czas w roku.

To także doskonała chwila, by oddać głos na swoich faworytów, tym bardziej, że na uczestników czekają naprawdę wyjątkowe nagrody: m.in. rodzinne sesje fotograficzne, vouchery na zakupy w sklepach SMYK, a w wielkim finale: wyjazdy do największego w Europie parku wodnego Suntago, vouchery

do biura podróży i aż dwie nagrody główne po 40 000 zł każda!

Dzisiaj, z ogromną radością, przedstawiamy Państwu kolejnych uczestników naszej akcji. Poznajcie małe Gwiazdeczki, które wysunęły się na prowadzenie i już teraz zachwycają świątecznym urokiem oraz niezwykłym wdzie-

kiem. Głosowanie trwa, emocje rosną, a każdy oddany głos może odmienić układ tabeli i sprawić, że to właśnie Wasz faworyt zabłyśnie jeszcze mocniej.

Z okazji zbliżających się Mikołajek życzymy Państwu dużo radości, uśmiechu oraz magii, która sprawia, że ten czas staje się naprawdę wyjąt-

kowy. Niech ten dzień będzie pełen drobnych dobroci, ciepła i niespodzianek, takich, jakie potrafią przynieść tylko święta i... nasze uroczyste Świąteczne Gwiazdeczki!

Aktualne wyniki głosowania można znaleźć na:
www.polskanews.pl/gwiazdeczki

MALUSZKI do lat 2



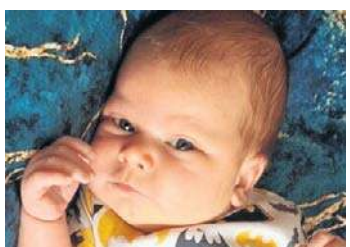
Amelia Muras,
Płock



Antonina Brzuszkiewicz,
powiat węgrowski



Julia Niekało,
powiat warszawski zachodni



Adam Ochocki,
Warszawa



Oriana Sobocińska,
powiaty: gostyński i grodzki



Mikołaj Przybysz,
powiat sierpecki



Kacper Orłowski,
powiaty: pułtuski i wyszkowski



Zuzanna Kociszewska,
powiat otwocki



Nikodem Kamiński,
powiat sochaczewski



Gabriel Markowski,
powiat legionowski

DZIEWCZYNKI i CHŁOPCY od lat 2



Franciszek Molak,
powiat otwocki



Mikołaj Piszewski,
powiat sochaczewski



Tymon Kostaciński,
powiat węgrowski



Oliwia Zakrzewska,
Warszawa



Maksymilian Zakrzewski,
Płock



Jan Koziczyński,
powiat płocki



Maria Fałęcka,
powiat ciechanowski



Pola Ostrowska,
powiaty: gostyński i grodzki



Zofia Piegutkowska,
powiaty: pułtuski i wyszkowski



Antoni Jastrzębski,
powiaty: ostrowski i sokołowski

WYDARZENIE OBOK ZAMKU KRÓLEWSKIEGO OD ŚRODY ŚWIECI OGROMNA, 27-METROWA CHOINKA

Warszawa rozbłysła milionami kolorowych lampek na święta

Mateusz Bagieński
Warszawa

Zimowa iluminacja rozświetliła Warszawę. W środę rozbłysnęła 27-metrowa choinka na Placu Zamkowym. Wraz z choinką rozświetliły się uliczki Starego i Nowego Miasta.

Świąteczna iluminacja w Warszawie wystartowała oficjalnie 3 grudnia 2025 r. Punktualnie o 18:00 na Placu Zamkowym rozbłysnęła 27-metrowa choinka, którą uroczyste uruchomił prezydent Rafał Trzaskowski. Wydarzenie przyciągnęło tłumy mieszkańców i turystów, którzy przyszli zobaczyć moment rozpoczęcia bożonarodzeniowego sezonu w stolicy.

W tym samym momencie ozdoby rozświetliły także najważniejsze punkty miasta: Trakt Królewski oraz kluczowe ulice Starego i Nowego Miasta. To ostatni rok, w którym warszawiacy mogą podziwiać iluminacje w dotychczasowej, retro stylistyce. Od przyszłego sezonu plano-



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Na Trakcie Królewskim ponownie pojawiły się dekoracje inspirowane latami 50. i 60. XX wieku. Wśród instalacji można znaleźć m.in.: świetlne saturatory, stare lampki

wana jest zmiana koncepcji dekoracji.

Na Trakcie Królewskim ponownie pojawiły się dekoracje inspirowane latami 50. i 60. XX wieku. Wśród charakterystycznych instalacji można

znaleźć m.in.: świetlne saturatory, stare lampki choinkowe, bombki w kształcie muchomorów, ale także znane z babcinych kredensów kryształ, telefon z tarczą. Te wszystkie ozdoby nawiązują

do dawnych klasycznych wzorów świątecznych przywołując atmosferę dawnych świątecznych spacerów. Ich twórcą jest firma Multidekor. Umowa z tym wykonawcą obowiązuje przez trzy sezony i w tym roku

wygasa, więc jest to ostatnia szansa, by zobaczyć ozdoby retro.

Wyjątkowo iluminację urozmaica w tym roku część dekoracji z planu filmowego „Lalki”. Dla wersji kinowej kręconej na Krakowskim Przedmieściu zbudowano sklep Wokulskiego. Z racji dużego zainteresowania publiczności pawilon sklepowy można nadal oglądać, a jego wystawy w oknach pozostaną do połowy lutego.

Przy użyciu łańcuchów, ozdób i lampek przyozdobione zostały Trakt Królewski, ulice Świętokrzyska i Chmielna, ale także ulice Starego i Nowego Miasta: Piwna, Świętojańska, Podwale, Piekarska, Zapiecek, Freta, Barbakan.

Dodatkowo postawione zostały ozdoby wolnostojące, np. na pl. Pięciu Rogów - iluminacje w kształcie relikwii, m.in. zapomnianych saturatorów czy wag sklepowych. Dla najmłodszych zaplanowano też podświetlane karuzele retro i zabawki z lat dzieciństwa ich rodziców i dziadków, jak również świecące pojazdy - syrenkę i motorower Ryś.

W listopadzie na Starym Mieście wystartował najstarszy warszawski Jarmark Bożonarodzeniowy. Drewniane budki, migoczące girlandy i aromaty pieczonych pierników wypełniają trasę wzdłuż murów Barbakanu aż do Rynku Starego Miasta. Stosiska pełne rękodzieła, słodkości i świątecznych przysmaków przyciągają tłumy mieszkańców i turystów, wprowadzając wszystkich w przedświąteczny nastrój. Jego godziny otwarcia: niedziela - czwartek: 11:00 - 20:00 (w Wigilię Jarmark będzie otwarty do 21.30), piątek - sobota: 11:00 - 21.30.

Atmosferę świąt w Warszawie można też poczuć w okolicach Pałacu Kultury. W ubiegłym tygodniu został otwarty Jarmark Warszawskiego na placu Defilad (Centralnym). W samym centrum miasta stało ponad sto drewnianych domków, w których wystawcy z całej Polski zaprezentowali m.in. rękodzieło artystyczne, ozdoby choinkowe, tradycyjne wyroby rzemieślnicze, a także regionalne przysmaki.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kozłowski**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

**Beskidy koło Wadowic -
tradycyjne turnusy Świąteczne,
tel.: 501-642-492.**

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ Ciągnik rolniczy C330, C360,
Zetor MTZ i inne. 698282939

KUPIĘ ciągnik rolniczy URSUS, Zetor,
MTZ i inne. 783964891

KUPIĘ ciągnik rolniczy Zetor,
Ursus, MTZ, Farmtrac, New
Holland, Case, T 25, C-360, C-360 3p, C-
330, C-328 tel 603502876

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

Różne

GOTÓWKĄ za KSIĄŻKI, 881-934-948

AUTOREKLAMA

aktualne
z całej Polski
przetargi

nasze
komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →



Piąta strona świata

stronapodrozy.pl

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej
gazecie
zlecisz bez
wychodzenia
z domu
przez
Internetowe
Biuro
Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA POLSKA POZNA EWENTUALNYCH RYWALI W MŚ, CHOĆ JESZCZE NIE PRZEBRNĘŁA PRZEZ BARAŻE

Losowanie w amerykańskim stylu

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Dziś o godzinie 18 w Kennedy Center w Waszyngtonie rozpocznie się losowanie grup przyszłorocznych mistrzostw świata organizowanych przez Kanadę, Meksyk i Stany Zjednoczone.

To ma być ceremonia z wielką pompą, w amerykańskim stylu. FIFA do współpracy namówiła znane postaci ze świata show-biznesu i sportu. Na scenie wystąpią choćby Andrea Bocelli, Robbie Williams, Nicole Scherzinger czy zespół Village People, który zyskał rozgłos dzięki kultowemu utworowi „Y.M.C.A.”. W rolę prowadzących wcielią się aktorzy Kevin Hart i Danny Ramirez oraz modelka Heidi Klum (Niemka dostąpiła tego zaszczytu już dwadzieścia lat temu, gdy jej kraj zorganizował mundial).

Dosamego losowania zdecydowano się natomiast zaangażować byłego angielskiego piłkarza Rio Ferdinanda, pochodzącego z Kanady hokeistę



FOT. SYLVIA DĄBROWA

Na razie nie wiadomo, czy na mundialu wystąpi reprezentacja Polski. Kadra Jana Urbana zmierzy się w barażach z Albanią, a jeśli wygra, z Ukrainą lub Szwecją

Wayne’a Gretzkyego, a także amerykańskie gwiazdy najważniejszych dyscyplin - futbolu, baseballu i koszykówki, czyli kolejno Toma Brady’ego, Aaron Judge’a i Shaquille’a O’Neala. Transmisję z komentarzem Piotra Sobczyńskiego i Macieja Iwańskiego zapowiedziano w TVP Sport.

Losowanie wyłoni dwanaście czterzespołowych grup. FIFA zastrzegła w regulaminie, że do grupy może trafić maksymalnie jedna drużyna z danego regionu. Wyjątek stanowi UEFA, z której na turnieju pojawi się aż szesnaście spośród czterdziestu ośmiu uczestników - w tym przypadku dopuszcza się mak-

symalnie dwie drużyny w grupie.

W pierwszym, najmocniejszym koszyku są współorganizatorzy mistrzostw, a także zespoły ze ścisłej czołówki rankingu FIFA na czele z Argentyną, która wygrała ostatni mundial. Polska trafiła do czwartego koszyka razem z pozostałymi drużynami uwi-

klanymi w marcowe baraże. Sam turniej ruszy z kolei 11 czerwca w Meksyku (finał 19 lipca w Nowym Jorku). I tu pojawia się kolejna ciekawostka: dzień po losowaniu grup zaplanowano jeszcze transmisję z ogłoszenia samego terminarza.

Podział na koszyki przed losowaniem:

koszyk 1: Kanada, Meksyk, USA, Hiszpania, Argentyna, Francja, Anglia, Brazylia, Portugalia, Holandia, Belgia, Niemcy; koszyk 2: Chorwacja, Maroko, Kolumbia, Urugwaj, Szwajcaria, Japonia, Senegal, Iran, Korea Południowa, Ekwador, Austria, Australia;

koszyk 3: Norwegia, Panama, Egipt, Algieria, Szkocja, Paragwaj, Tunezja, Wybrzeże Kości Słoniowej, Uzbekistan, Katar, Arabia Saudyjska, RPA;

koszyk 4: Jordania, Republika Zielonego Przylądka, Ghana, Curacao, Haiti, Nowa Zelandia, zwycięzcy baraży europejskich (4) i interkontynentalnych (2).

Sześciu uczestników mistrzostw wciąż nie zostało wyłonionych. Mijemy nadzieję, że

wśród nich znajdzie się nasza reprezentacja. Drużynę prowadzoną przez Jana Urbana czekają baraże pod koniec marca. Najpierw w półfinale na PGE Narodowym w Warszawie zmierzmy się z Albanią. Potem czeka nas wyjazd do Solnej lub... Hiszpanii, bo tam Ukraina najpewniej rozegra ewentualny finał po wyeliminowaniu Szwecji. Wcześniej zrezygnowała z gry w Polsce, choć w eliminacjach korzystała ze stadionów w Krakowie, Warszawie i Wrocławiu.

Czterech uczestników wyłonią baraże europejskie, zaś dwóch interkontynentalne. Demokratyczna Republika Konga na składzie z obrońcą Legii Warszawa Steve’em Kapuadim czeka na wygranego meczu Nowa Kaledonia - Jamajka. W drugim finale Irak, w którego kadrze są Amir Al-Ammari (Cracovia) i Hussein Ali (Pogoń Szczecin), zmierzy się przeciwko wygranemu z pary Boliwia - Surinam.

Dodajmy, że tzw. superkomputer już wyłonił faworyta mistrzostw - jest nim Hiszpania. W dalszej kolejności wymienia się Francję i Anglię.

MATERIAL INFORMACYJNY HONEST MEDIA

0011443807

Polscy pływacy są szczęśliwi, że mogą walczyć o medale mistrzostw Europy przed swoimi kibicami

To bez wątpienia historyczny moment dla polskiego pływania! W Lublinie do niedzieli trwać będą Mistrzostwa Europy na pływalni dwudziestopięciometrowej. Takiej imprezy nie było od czternastu lat, a w polskiej kadrze jest tylko jedna zawodniczka, Katarzyna Wasick, która wystąpiła na poprzedniej wielkiej imprezie w naszym kraju - w 2011 roku w Szczecinie również odbyły się mistrzostwa Starego Kontynentu na krótkim basenie.

Co ciekawe, gdy europejscy pływacy ostatni raz walczyli o medale mistrzostw Europy, w zawodach brała udział również Otylia Jędrzejczak, dzisiaj prezes Polskiego Związku Pływackiego. – Pamiętam, że marzyłam, żeby zdobyć medal w Polsce i mi się nie udało. To było coś niesamowitego móc w Polsce wystartować na zawodach i poczuć polskich kibiców, którzy kibicują kadrze narodowej. Jestem przekonana, że nasi zawodnicy to doceniają – mówi Otylia Jędrzejczak.

Czy rzeczywiście doceniają? Nie ma żadnych wątpliwości, że tak. – Czujemy



FOT. RAFAŁ OLESIEWICZ

większy komfort psychiczny, znamy basen i Lublin, a do tego mamy wspaniałą publiczność na trybunach. To na pewno gra na naszą korzyść, co widać w tych porannych eliminacjach – podkreśla Kornelia Fiedkiewicz, która razem z koleżankami ze sztafety 4x50 metrów stylem dowolnym już pierwszego dnia mi-

strzostw stanęła na podium, odbierając brązowy medal.

– To jest mój ulubiony basen w Polsce, może oprócz tego, na którym trenuję. Padło tu dużo rekordów życiowych i rekordów Polski. Cieszę się, że jesteśmy w Polsce i mogą kibicować mi najbliżsi – dodaje Dominika Sztandera, specjalistka stylu klasycznego.

Z kolei Krzysztof Chmielewski, wicemistrz świata z tego roku z Singapuru na 200 metrów stylem motylkowym, uważa, że fakt, iż mistrzostwa odbywają się w Lublinie, nie tylko powoduje lepsze samopoczucie, ale również dodaje pewności siebie, co może być decydujące w zaciętej walce o medale.

– Fajnie się tu czujemy, na pewno własny obiekt i nasi kibice dodają nam pewności siebie. Zazwyczaj w kraju, np. na kwalifikacyjnych zawodach w Polsce, pływamy lepiej niż na imprezach docelowych, więc to nam pomaga, a nie przeszkadza – mówi Chmielewski. Start Biało-Czerwonych w mistrzostwach Europy będą wspierać sponsor polskiego pływania PGE Polska Grupa Energetyczna oraz Ministerstwo Sportu i Turystyki.

Prezes Polskiego Związku Pływackiego jest szczęśliwa, że wielka europejska impreza wróciła do Polski. – Cieszę się, że w tym roku będziemy mogli kibicować naszej kadrze narodowej startującej w mistrzostwach Europy w Lublinie. A do tego w mistrzostwach Europy masters będą mogli także wystąpić Biało-Czerwoni, czyli ta grupa osób, która z przyjemnością amatorsko wskakuje do wody. Szczecin 14 lat temu się sprawdził i miejmy nadzieję, że Polski Związek Pływacki i Lublin w 2025 roku także się sprawdzą – podkreśla Jędrzejczak.

Prace związane z organizacją dużej imprezy

na pływalni w Lublinie trwały od wielu miesięcy. – Dla Polskiego Związku Pływackiego jest to duże wyzwanie organizacyjne. Szczecin sprostał temu wyzwaniu jako organizator w 2014 roku. Dzięki wsparciu Ministerstwa Sportu i Turystyki, naszych sponsorów, wśród których są m.in. Orlen oraz marki Lotto i DrWitt, możemy to wydarzenie realizować i jestem przekonana, że zawodnicy wyjadą z Lublina zadowoleni. Jak ja to mówię, nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko takie, do których się słabo przykładamy. Dlatego jako Polski Związek Pływacki chcieliśmy podjąć to wyzwanie, żeby promować polskie pływanie i pokazywać, jak bardzo ważną dyscypliną sportu w Polsce jest pływanie – mówi najwybitniejsza zawodniczka w historii polskiego pływania.

Mistrzostwa Europy na krótkiej pływalni zakończą się w niedzielę 7 grudnia. Każdego dnia sesje poranne zaczynają się o godz. 10, a wieczorne o 19. – Zachęcamy do kibicowania na trybunach, bo naprawdę warto przyjść i poczuć te emocje – zachęca Katarzyna Wasick, czołowa pływaczka świata w stylu dowolnym.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie – przysłowie abisyńskie.

ROZWIĄZANIE: KAZDY DZIEŃ PRZYNOŚI JAKIEŚ DOBRO.